Nr. 23. Kraków, dnia 5 czerwca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Z chwili bieżącej.

(Korespondencya poznańska.)

Najważniejszą sprawę, która Polaków pod zaborem pruskim, Polaków, mających to „szczęście" zwać się obywatelami tego kraju wolności, kultury, — dodamy jeszcze — postępu, obchodzić powinna, jest upadek projektu reformy wyborczej do Sejmu pruskiego.

Przepraszam! — źle się wyrażam; przecież projekt ten nie *upadł* lecz został cofnięty — z całym honorem.

Ale dziękuję za taki honor! Przecież większa część Sejmu pruskiego, a raczej Izby posłów tegoż Sejmu wyraźnie orzekła, że z projektem podobnym nie chce mieć nic do czynienia, — zwłaszcza gdy „dostojna i szlachetna" Izba panów raczyła projekt, uchwalony już w Izbie „szanownych" posłów, pogorszyć do tego stopnia, że — przepraszam — nawet nań psy wyć nie chciały. Jednym jedynym wolnokonserwatystom, kiwającym na wszystko, co rząd łaskawie dać raczy, projekt się od biedy podobał, i oni jedyni za pogorszonym projektem również się oświadczyli. Lecz reszta! Panom junkrom pruskim, owej najkonserwatywniejszej konserwie, jaka znajduje się na całym świecie cywilizowanym, — można by ich porównać z botokudami, lub w najlepszym razie z średniowiecznymi „raubryterami" — projekt był zanadto postępowym, rewolucyjnym. Dla reszty zaś opozycyonistów, dla żywiołów, przedstawiających niemiecki postęp, projekt był tak zacofanym, że na niego w żaden sposób zgodzić się nie mogli.

I tak więc uczuł się rząd zniewolony do cofnięcia tego nienaturalnego dziecka, — które fałszywym uśmiechem miało uspokoić, wprowadzić w błąd lud niemiecki, żądający od dawna rzeczywistej reformy. Czy tego nie można nazwać upadkiem, do tego bardzo sromotnym?

Projekt, przedłożony przez rząd miał być wałem ochronnym, chroniącym go przed dalszym natarczywym żądaniem prawdziwej reformy, wyborów takich, jakie posiada Rzesza niemiecka przy wyborach do Parlamentu, głosowania czteroprzymiotnikowego, — równego, tajnego, powszechnego i bezpośredniego. Na stanowisku, że takie tylko prawo wyborcze zadowolnić może szerokie warstwy ludu, wysyłające przedstawicieli swych do Berlina, stało też nasze Koło Polskie, mając przedewszystkiem na oku dobro wyborców Polaków. Stanowisko to Koła Polskiego w Sejmie pruskim zaznaczył jasno i dobitnie poseł ks. prał. *Jażdżewski.*

Mimo obecnego upadku projektu reformy wyborczej w Prusiech można z całą pewnością i stanowczością powiedzieć, że *myśl* reformy bynajmniej nie upadła, nie została pogrzebana. Myśl jest nieśmiertelną, pogrzebać się ona tak łatwo nie da, a gdy siła jakaś brutalna stara się ją zgnieść, to — choć na razie może troszkę ucichnie — z tym większą energią domaga się ona swych praw, tym głośniej obwieszcza światu swoje: *Jestem.*

Tak będzie z reformą wyborczą w Prusiech.

Cieszyć się należy, że upadł obecny projekt, który nie wyszedł z łona ludu, lecz z głowy rządu — na to tylko, by na razie zaspokoić ogólny głód wyborczy. Projekt rządowy miał być tym ochłapem, rzuconym tłumowi, mającym go omylić, oszukać. Dobrze się stało, że poznano się na wartości tego ochłapu, że go przyjąć nie chciano, że zmuszono rząd do tego, by nędzny ten ochłap zatrzymał dla siebie.

A burza żądań prawdziwej reformy, parlamentarnego prawa wyborczego dla Prus tymczasem nie ucichnie. Przeciwnie, szaleć ona będzie tem mocniej dopóty, dopóki Prusy nie otrzymają czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego. Gdy runie dotychczasowy trzyklasowy pruski system wyborczy, gdy pogrzebane zostanie na zawsze jawne prawo wyborcze, umożliwiające wszelkie możliwe i niemożliwe szykany, — wówczas i my, Polacy, będziemy mogli odetchnąć trochę swobodniej.

Miejmy nadzieję, że wówczas trudniej przyjdzie rządowi przeprowadzać w Sejmie pruskim za podszeptem hakatystów wyjątkowe ustawy antypolskie, choć pod tym względem łudzić się bynajmniej nie mamy powodu.

Jedna z takich antypolskich ustaw wyjątkowych drobniejszego kalibru ujrzała w ostatnim czasie światło dzienne. W Sejmie uchwalono mianowicie ustawę o kosztach sądowych, której pewien paragrafik oznajmia, że koszta sądowe mają być wyższe, jeżeli w rozprawach sądowych nie używa się języka niemieckiego. Przeciw paragrafowi temu wystąpili posłowie nasi bardzo stanowczo, lecz — jak zwykle — głosy ich nie odniosły przed trybunałem „szanownych" posłów pruskich, zarażonych hakatyzmem pożądanego skutku. Tak więc na każdym kroku uczuwać mamy, że jesteśmy obywatelami niższego gatunku, który na każdym kroku gorzej są postawieni od „współobywateli" Niemców.

I poco to Prusacy czynią, choć daliśmy im już tyle przykadów, że te rozmaite środki i środeczki antypolskie nie wyprowadzą nas nigdy z równowagi, ni w tę, ni w ową stronę! Zawsze pozostaniemy tem, czem Bóg nam być przykazał: *Polakami.* *P. K.*

Henryk Sienkiewicz braciom w Ameryce.

Jak wiadomo, rodacy nasi w Stanach Zjednoczonych obchodzili wielkie święto narodowe z okazyi odsłonięcia pomników Kościuszki i Pułaskiego.

Zjazd Polaków ze wszystkich zakątków Ameryki był niezwykle liczny, nastrój serdeczny i radosny. Na owe uroczystości polskie napłynęły ze wszystkich stron Polski telegramy i listy. Między innymi nadesłał także wielki nasz powieściopisarz *Henryk Sienkiewicz* list, który zarówno wśród Polaków jak i Amerykanów wywołał olbrzymi entuzyazm. List ten brzmi:

Czcigodni i Drodzy Rodacy!

Niepomyślny stan zdrowia i zupełna niemożność przemawiania na zebraniach publicznych, nie pozwalają mi stawić się osobiście w Waszyngtonie dla wzięcia udziału w drogich dla każdego serca polskiego uroczystościach odsłonięcia pomników Pułaskiego i Kościuszki. Z tego jednak powodu poczytuję sobie tem bardziej za obowiązek wziąć w nich udział chociaż listownie i przesłać Wam, Czcigodni Rodacy, kilka słów, mających być świadectwem, że w tak ważnych dla Was chwilach, serce moje jest przy Was i cieszy się razem z Wami chwałą naszych narodowych bohaterów.

Walczyli oni za wolność Stanów Zjednoczonych, przez co zapewnili Polakom prawo moralne do tej ziemi i umiłowawszy ten kraj swobody, a zarazem przechowując wielką i niewygasłą miłość dla Polski, zostawili Wam przykład, jak pogodzić i połączyć ze sobą te uczucia. Że zachowujecie święcie ową tradycyę, dowodem ten świetny obchód i to zebranie, na które podążyliście ze wszystkich stron Ameryki. Bierzecie bowiem w nim udział, jako Polacy, jako synowie tej starej Ojczyzny-Matki, o której pamięć goreje zawsze na kształt Żnicza w Waszych sercach, ale jednocześnie jako wdzięczni i lojalni obywatele Stanów Zjednoczonych, gotowi oddać życie za ten potężny kraj, który daje Wam wolność, chleb i który przyjmuje Was, nie jako gości, nie jako obcych przybyszów, ale jako rodzone dzieci. Jest to, jakby węzeł na dwoje w Waszych sercach zawiązany. Jesteście cząstką siły Stanów Zjednoczonych, a nie przestajecie być siłą polską. Jesteście przedstawicielami Metropolii w najwolniejszym na świecie kraju i korzystając z wielkich jego instytucyi w prawy, szlachetny i legalny sposób, składacie tem samem świadectwo, że Polak dojrzał do wolności, że potrafi z niej korzystać i że . . . .

Przy spełnianiu tej misyi wobec Ludu Amerykańskiego będą przyświecały wiecznie — Wam i Waszym potomkom — dwa wielkie i drogie imiona, należące zarówno do historyi Stanów Zjednoczonych, jak i do polskiej. Posągi obu bohaterów nie mogły stanąć dotychczas na ojczystej ziemi, tem bardziej zatem chwalebną i tem słuszniejszą jest rzeczą, że postanowiliście wznieść je Wy, którym nie związano rąk. Nieliczni tylko przedstawiciele Ojczyzny mogli się stawić na tę uroczystość, ale duch całej Polski jest w tej chwili z Wami, drodzy Rodacy, a wszystkie usta polskie powtarzają słowa, któremi kończę ten list: Cześć pamięci Pułaskiego i Kościuszki! — cześć Wam!

Rok wielkich wspomnień.

„Wszystko na świecie co cieszy, co bawi,
Zmienia się jak pory roku,
Po większem szczęściu większy ból się strawi,
I sromotniejsza łza w oku. —

Nie dmij się, jeśli na fortuny kole
Złote przetaczasz dni swoje,
Ani gdy siędziesz na płaczu padole,
Przelewaj rzewnych łez zdroje.

W szczęściu, w nieszczęściu, bądź jednakim
Korzystaj z danej ci chwili, [zawsze
Wzburzone niebo stanie się łaskawsze
I w smutku dni twe przymili."

Wierszyk powyższy przyszedł nam na myśl wobec uroczystości polskich w Krakowie i Waszyngtonie. Cała tkanina dziejowa historyi polskiej przeplatana tak rozmaito-barwnemi wypadkami, przesuwa się mimowoli w kalejdoskopie umysłowym, i każe na chwilkę zastanowić się nad wypadkami bieżącymi, jakich jesteśmy świadkami, a czasem i przyczyniamy się do ich wywołania na scenę dziejową.

Nie sięgając w przeszłość zamierzchłą, w fazę wytwarzania się właściwości narodowych, lecz biorąc tylko epokę objętą historyą dziejową, widzimy że naród polski przechodząc rozmaite losu koleje, to się targał w domowych rozterkach, to toczył zażarte walki z obcymi wrogami o swój byt, to znowu miał chwilowy pokój do unormowania spraw wewnętrznych.

W chwilach chwały i potęgi zdawało się, że jest niewzruszoną opoką, o którą wszystkie burze muszą się rozbić. W chwilach zaś klęsk i burz, zdawało się, że wszystko minie na zawsze i naród zginie bezpowrotnie. Lecz minęły dnie tryumfów i chwały, minęły dnie klęsk i rozpaczy, jak mijają pory roku i najstraszniejsze burze i katastrofy, a naród pozostał jakim był, z gruzów na nowo budując swą przyszłość i patrząc w dal opromienioną nadzieją lepszej doli.

I doczekaliśmy się tego roku, w którym pamięć wielkich wypadków dziejowych poruszyła dwudziesto-pięcio milionowy naród polski, wzmacniając jak tchnienie życie stargane siły narodu, ogrzewając serca radością pokonanych zagłady, i dodając otuchy duchowi do przekuwania zamiarów i dążności na przyszłość w czyny nieśmiertelne, które dalszym pokoleniom służyć mają do dalszych wysiłków w pracy nad dźwignięciem narodu z upadku i odbudowania Ojczyzny.

Na zegarze dziejowym potężnem echem wybija godzina pięciuset lecia oręża polskiego. Na powitanie tego momentu chwały najpotężniejszy wolny naród na świecie, jaki kiedykolwiek istniał, składa najwyższy hołd bohaterstwu i ideałom polskim, odsłaniając pomniki patryotom polskim w swojej stolicy. A naród polski przez swych przedstawicieli gromadzi się do tej stolicy, aby zastanowić się nad swym bytem narodowym, rozpatrzeć przyczyny złego i dobrego i rozstawić drogowskazy przyszłych dziejów, oparte na doświadczeniu przeszłości. W międzyczasie naród rozpamiętywa również wielkie wypadki, jak nadanie praw obywatelskich całemu narodowi, bohaterskie choć nieskuteczne wysiłki patryotów oswobodzenia Ojczyzny i narodu z obcego jarzma niewoli. A ponadto wszystko, skupiając siły narodowe, nie zapominając jednocześnie o wykonywaniu szarej tkanki powszechnego życia.

Takich wypadków zgromadzonych w jednym roku dotąd naród polski jeszcze nie widział, i dlatego rok bieżący musimy uważać za rok wielki — za odwrócenie nowej karty w książce naszych dziejów, i zrobić mocne postanowienie, aby każda zwrotka na tych nowych kartach była zapisaną złotemi głoskami czynu, szlachetności, wzajemnego poszanowania, przebaczenia wzajemnych uraz — i podanie sobie ręki do wspólnej pracy nad podniesieniem dobrobytu narodowego.

Odrodźmy się jako naród duchem, a wtenczas cały naród w pełni odczuje błogosławieństwa, jakie da narodowi ten Wielki Rok.

Kościuszko i Pułaski.

Uroczystość odsłonięcia pomników bohaterów polskich w Waszyngtonie, o której pisaliśmy już w nr. przeszłym, upamiętniła również i poezya anglo-amerykańska. Wielu poetów poświęciło perły swych uczuć nieśmiertelnym bohaterom polskim, ścieląc pod stopy narodu polskiego kwiaty swych wzniosłych myśli. Dzisiaj zamieszczamy wiersz utalentowanego poety amerykańskiego p. Joyce, który podajemy również w wolnym przekładzie Orpiszewskiego.

Polscy bohaterzy waleczni i mężni
Szli w bój odważnie dla najświętszej sprawy,
Jaśni jak gwiazdy i duchem potężni,
Broniąc niewinnych i wawrzynu sławy.

Szlachetni w czynach, chwalebni mężowie;
Subtelni, czyści, jak dziewicze złoto;
Patryotyczni ci ludu wodzowie
Z polskiej krainy szli do nas z ochotą.

O Kolumbio nagródź wojowników;
Uczcij dziś pamięć tych mężów z za morza,
Bo krew szlachetna polskich męczenników
Rumieni pola, niby jasna zorza.

A Saratoga niechaj opowiada,
Jak to rycerstwo garnęło się tłumnie
Pod sztandar, by zgnieść despotyzmu gada —
W boju piekielnym idąc naprzód dumnie.

Dziś dwa pomniki tych polskich rycerzy
Wznoszą się k'niebu w tym kraju wolności
I mówią do nas: niech każdy z Was wierzy,
Żeśmy walczyli dla waszej przyszłości.

†

Maryan Gawalewicz.

W czwartek zakończył życie we Lwowie nader popularny powieściopisarz Maryan Gawalewicz. Do pracy na polu literackiem zabrał się bardo wcześnie. Urodzony w 1752 r. we Lwowie, po ukończeniu szkolnego wykształcenia, odbywał studya w uniwersytecie Jagiellońskim i już w r. 1868 wydrukował pierwszą nowelę w jednem z pism lwowskich. Przez pewien czas przebywał w Krakowie pracując w tamtejszem dziennikarstwie, później jednak przeniósł się do Warszawy, gdzie, dzięki swemu literackiemu wykształceniu i łatwości pisania, stał się pierwszorzędną siłą i współpracownikiem wszystkich prawie pism warszawskich. Samych feljetonów z dziedziny literatury i życia społecznego napisał z górą tysiąc.

Po za tą dziennikarską i publicystyczną działalnością znajdował czas na twórczość czysto-literacką. Jak z rogu obfitości sypały się poezye, nowele, powieści i utwory dramatyczne. Złożyły się na kilkadziesiąt tomów. Z powieści „Majster do wszystkiego", „Mechesy", „Szubrawcy", „Warszawa" i inne osnute na podkładzie społecznym, zyskały sobie duże powodzenie. Szereg powieści z podkładem psychologicznym: „Ćma" (tłom. na jęz. niemiecki i rosyjski), „Mgła", „Bluszcz", „Cudak" i inne — również cieszyły się poczytnością. Kilka zbiorków nowel, jak „Dusze w odlocie", „Szkice i obrazki", „Z mego albumu" i inne — przyczyniły się również do popularności modnego w swoim czasie pisarza.

Jego utwory powieściowe, odznaczające się lekkością stylu, czystością języka i ładną formą, posiadały tkliwość i miękkość prawie kobiecą. Umysł jego wrażliwy nie wnikał niestety zbyt głęboko w zagadnienia życiowe i społeczne, co obniża znacznie wartość ideową i literacką prac jego. Dawał jednakże ze siebie, co miał najlepszego w warunkach codziennej pracy zarobkowej, nie pozwalającej często na pogłębienie tematu.

Imię jego w kraju i za granicą rozgłosiło ogromnie wydanie utworu poetyckiego, osnutego na legendach ludowych pt. „Królowa niebios"; również znane są „Poezye" w zbiorku osobnym z ilustracyami Stachiewicza.

Wielkie umiłowanie sztuki dramatycznej i teatru wyraził się w Gawalewiczu w tworzeniu dla sceny. Był to szereg jednoaktówek i obrazków dramatycznych, często okraszonych miłym humorem lub uderzających w tony dźwięczne i melodyjne. Jego „Barkarolę" (tłom. na język niemiecki i grana w Berlinie), „Dzisiejszych", „Perły", „Preludyum Szopena", „Po drodze" i wiele innych — grano z powodzeniem na scenach naszych, a teatry amatorskie czerpały ztąd pełną garścią.

Przy końcu życia główną swą działalność zwrócił do ukochanego teatru. Prowadził scenę łódzką niezbyt szczęśliwie, choć usiłował postawić ją na na wysokim poziomie artystycznym, założył w Warszawie tak zw. teatr Mały. Umarł wreszcie na stanowisku współkierownika sceny lwowskiej.

Pracą swą ogromną i talentem położył on niemałe zasługi dla literatury naszej, stąd też towarzyszy mu do grobu szczery żal rodaków, a mianowicie tych, którzy go bliżej znali i ocenić zdołali gorącą sympatyę i pomoc, jakiej udzielał młodym talentom, oraz ciepło, którem płacił za przyjaźń.

Cześć jego pamięci!

Religia w kraju Jagiełły.

Litwa starodawna nie znała jednego Boga. Cześć boską oddawano siłom przyrody: dobroczynne słońce — ogień, który zziębnięte członki mieszkańca północy ogrzewał, urodzajność ziemi, wydającej zboże i owoce, były dla Litwinów prastarych czasów bóstwami.

Dzielono je na bóstwa niebieskie i ziemskie.

Z bóstw niebieskich, jako najwyższego pana, boga światła i piorunów karzącego i wymierzającego sprawiedliwość sędziego, czczono Perkuna, o innych zaginęły wieści, dawne księgi mówią tylko o mnóstwie bogów i bogiń ziemskich, które



Królowa kwiatów.

strzegły na każdym kroku Litwina, a objawiały się w postaci drzew, zwierząt, nawet kamieni.

Szum lasu, łoskot burzy, szmer strumienia, huk grzmotu i piorunów był głosem bogów, mieszkających w polach, lasach, w falach jezior i rzek, kryjących się w ziemi i w kątach domostw. Posągów, czyli tak zwanych bałwanów, nie znali Litwini, nie budowali też jak inne ludy pogańskie świątyń, świątynią były święte gaje, święte wzgórza, cześć odbierały jeszcze w wiele wieków

po zaprowadzeniu wiary chrześciańskiej święte dęby, jak Baublis, Dewajtis i inne. W złej i dobrej chwili, w domu, na polu, w lesie modlił się Litwin i składał ofiarę. Kiedy szalała burza, obchodził domostwo z połciem na plecach, obiecywał złożyć go w ofierze Perkunowi, byle tylko chronił zagrodę od ognia piorunów. W każdej chacie latem na przyzbie, zimą i jesienią na sianie w kącie wylegiwały się czarne węże, jaszczurki i żmije, tuliły się nieraz do dziecka w kolebce, które bawiło się niemi bez lęku i wstrętu. Kiedy gospodyni ranne odprawiała modlitwy, ofiarę bogom składała karmiąc mlekiem pierwej niż dzieci, hodowane w domu gady i płazy. Bogom na ofiarę zabijano kijami i pałkami zwierzęta, (który to zwyczaj pochodził z owych czasów, kiedy nie znano żelaza), tłuszcz palono, aby wonią jego ucieszyć bóstwo, mięso zjadano, krwią skrapiał ofiarnik zgromadzonych. Osobną czcią otaczano ogień pod nazwą Znicza jako bóstwo, co piorunem zstępuje z nieba na ziemię, dobroczyńcą jest i niszczycielem, trzeba mu więc ofiar, trzeba nieustannego czuwania.

W świątyni Znicza czuwali kapłani dniem i nocą, aby święty ogień nie zagasł, albo, żeby rozgniewany nie pochłonął pożarem domostwa i dobytku. Sługami bogów byli kapłani, najwyższy z nich miał tytuł Kriwe-kriwejte, pomocnikami jego byli wajdeloci, ofiarnicy, śpiewacy.

Liczne i chętnie lud składał bogom ofiary, ale też pragnął widzieć, jak je przyjmują, czy modłów wysłuchają. Stąd mnóstwo było wróżbitów, wieszczów, czarodziejów, którzy przepowiadali przyszłe losy, tłómaczyli wolę bogów; stąd wiele zabobonów i guseł do dzisiaj przechowanych w niedostępnych kniejach lesistej Litwy.

Na cześć bóstw obchodzono liczne święta składaniem ofiar — modłami i biesiadami. Do każdego święta przywiązane były pewne zwyczaje, pewne obrzędy.

Tak np. Nowy rok święcono paleniem starej kłody drewnianej, a powitaniem małej, młodej gałązki, w kwietniu witano wiosnę, bóstwu jej Pergrubis zwanemu składano ofiary, a po modłach odbywała się uczta wspólna, na którą składało się kilka osad.

W czerwcu odprawiano święto Prosy, na wzgórzach palono ognie, Sobótki w całej Słowiańszczyźnie są zabytkiem podobnego pogańskiego obchodu. Najweselsze, połączone z najsutszemi biesiadami były święta jesienne — później święta zaduszne, czyli „Dziady“ albo Chantury, w listopadzie „długie święto“ Perkuna, wreszcie święto boga lnu Ważganta.

Na obchód uroczysty zbierały się gromady ludzi, jak na nasze odpusty, każdy niósł z sobą pieczywo, drób, wiódł bydło, dla którego brakło paszy. Ucztowano wesoło, a jeżeli kto umarł w tę porę, śpiewano nad nim pieśni, — wyrażając podziw i żal, że odszedł wtedy, kiedy miał co jeść i pić.

Wierzyli Litwini w życie przyszłe a duchom zmarłych oddawali cześć składaniem ofiar z jadła, napoju i odzieży. Każda uczta, każda biesiada zaczynała się udzieleniem cząstki potraw duchom zmarłych, obcowano niejako z nimi, oddawano się im w opiekę, wyobrażano sobie, że pokutują zaklęte w ciałach zwierząt. Między żyjącymi, a zmarłymi był ciągły związek, nie lękał się też Litwin śmierci. Ciała palono na stosie a razem z ciałem przedmioty miłe zmarłemu, psy, konie, sokoły, czasem niewolników, a nawet żony. Na cześć zmarłych obchodzono uroczystość „Dziadów“. Wśród lasów były cmentarzyska dla każdej osady osobne, a złożone z tylu mogił i ognisk do palenia ciał, ile było rodzin w osadzie. Tutaj w świętą noc Dziadów zgromadzały się tłumy, niosąc wielkie zapasy ofiar. Wypoczywano, ucztowano, potem składano ofiarę Perkunowi, wreszcie wywoływano duchy zmarłych, zostawiano dla nich jadło i napoje, rozwieszano na gałęziach drzew odzież. Każdy pogrzeb był uroczystością, która nie mogła obejść się bez uczty, prócz pogrzebu, w trzeci, szósty i dziewiąty dzień po spaleniu ciała powtarzano żałobny obchód połączony z ucztą zastawioną dla tłumu krewnych i przyjaciół. Dnia czterdziestego po pogrzebie odbywała się uczta wyłącznie poświęcona zmarłemu. Kilkadziesiąt osób jadło i piło w jaknajwiększej ciszy i milczeniu, unikało najlżejszego stuku, każdego głośnego słowa, aby nie spłoszyć ducha nieboszczyka, bo głęboko wierzono, że jest on obecny na uczcie. Podobnie w uroczystej ciszy odprawiano tajemnicze modły za zmarłych podczas wszystkich prawie świąt, cisza pełna grozy, panowała w świętych gajach, dokoła świętych dębów i dokoła nielicznych świątyń. Ze wszystkich ludów Europy najdłużej, bo aż do czasów Jagiełły trwała Litwa w ciemności pogaństwa, a chociaż za sprawą Jagiełłowej małżonki Jadwigi czciciela Znicza oblała woda chrztu świętego, długie, długie jeszcze lata, dziesiątki lat, kryły się dawne zabobony, dawne zwyczaje pogańskie; niejeden z nich po dziś dzień istnieje i przypomina owe zamierzchłe, prastare czasy.



Szczęście matki Cyganki.

O szczęściu dzieci.

„Czy dzieci są szczęśliwe?" — Nad tem zagadnieniem zastanawiał się pewien znakomity myśliciel i — dowodzi, że dzieci wcale nie są tak szczęśliwe jak ogólnie mniemamy. Że nieszczęścia swoje i cierpienia, odczuwają równie dotkliwie, jak dorośli i że jest wiele rzeczy uciskających ich młode duszyczki, o jakich my sobie nie zdajemy sprawy. Powiada, że we wspomnieniach z dzieciństwa swego — daleko więcej widzi smutnych, aniżeli jasnych chwil. Obserwacye jego w tym kierunku, dowodzą dobroci serca jego i — odwagi gdyż dotychczas nikt przedmiotu tego nie poruszył. Zwykle lekko zapatrujemy się na tak zwane nieszczęścia i łzy dziecka, nie zastanawiając się, że pominąwszy naturalnie złość i kaprysy, które są wynikiem wychowania, cierpią one może stokroć więcej jak my, bo — szczerze odczuwając — łzy ich są szczerze, kiedy u dorosłych często... udane.

Przedstawmy sobie tylko niektóre uczucia dziecka, rzeczy, które dla nas dorosłych są niczem, o których zapomnieliśmy, żeśmy je także w dzieciństwie przechodzili. Np. strach u dziecka, strach przed psem szczekającym, przed mrówkami w lesie, przed krzykliwym głosem rodziców; strach przed kominiarzem, przed ciemnym pokojem, do którego nielitościwa matka zamyka nieraz dziecko, chcąc „oduczyć" strachu zamiast nauczyć dziecko i wytłumaczyć, że nie ma się bać czego; — a może ta sama matka tak samo się boi grzmotów i piorunów, które znowu na niewinne dzieci mniej wpływu miewają. Następnie strach przed szkołą, przed nauczycielem i dziećmi złemi. Naturalnie, że i tu wszystko od wychowania zależy; dziecko jednak nie mniej cierpi, a gdyby kochająca ręka matki zechciała badać to szalone bicie serduszka w chwilach udręki dziecka i zapobiegła łagodnem tłumaczeniem i pouczeniem, jakże wiele złego dałoby się uchylić, a jak inaczej w późniejszych latach, ta przeszłość, którąby powinna być promienną, dorosłemu by się przedstawiała.

Przedstawmy sobie jeszcze np. tak zwane dobrze wychowane dziecko (bywają tak zwane wychowania i rzeczywiste wychowania dobre), któremu zalecają wiecznie, by nic nie zepsuło, by sukienki nie splamiło lub nie rozdarło itd. Raz i ja mimowoli byłam świadkiem podobnego przejścia u dziecka, sześcioletni chłopczyk dostał zegarek, prawdziwy zegarek; — radość jego była nie do opisania; niestety, krótko trwała; w szkole opierając się w ławce, strzaskał szkiełko i popsuł zegarek. Żal jego i strach przed karą były również nie do opisania; mdlał prawie, idąc do domu, a przez drogę rozmyślał, czy nie lepiej pójść odrazu utopić się; — czyż uczucia w takich chwilach dzieci ustępują przed uczuciami starszych? czy serduszko mniej boli? Stokroć więcej, gdyż jest delikatniejsze...

I znowu należy tu odwołać się do rodziców, do matek w szczególności, by te, stosownem postępowaniem z dziećmi, łagodziły ich cierpienia i z taktem pouczały i wychowywały dzieci.

Z drugiej strony, stanowczo twierdzę, że dzieci są od nas szczęśliwsze i bardzo szczęśliwe w odczuwaniu radości; — bo, jak ciężko się martwią i łzy wylewają, tak byle co je wzrusza i uśmiech na usta wywołuje. Zapominają prędko i tak łatwo o! tak łatwo; cieszy słońce i kwiatki i śpiew ptasząt, skoki pieska i kotka, cieszą się gdy wstają rano, cieszą usypiając, bo jutro bawić się będą! Cieszy je pieszczota matki i nowe trzewiczki zachwyt wywołują — i motylek w powietrzu fruwający i królik po ziemi się plączący, i dobra nota w szkole; z jakąż radością i zapartym oddechem biegną do domu, by rodzicom o swej uczoności opowiedzieć! O, rodzice, i wy wówczas się cieszycie! gdyż dzieci wasze niebo wówczas w serduszkach mają. Któż więc i czem dowieść zdoła, że dzieci nie są szczęśliwe? A gdy poczną opowiadać, plany na przyszłość tworzyć, — i znowu serduszko bije radością taką, jakiej my już czuć nie potrafimy.

I tak kto tylko obserwuje dzieci, kto się zastanawia i dopomaga im do — życia — ten przyznać musi, że szczęście przeważa u nich.

Dziecko posiada jeszcze jedną osobliwość, której my pozbawieni jesteśmy; oto — umie cieszyć się teraźniejszością szczęśliwą, nie myśląc, że ona się skończy; umie ją na swój sposób wykorzystać, śmieje się z nieobeschniętemi jeszcze łzami nie myśląc, że one znów powrócić mogą, bo oto już ma uciechę. Dziecko nie zna też nurtujących starszych kłopotów, walki; o śmierci nie myśli, chyba jak o czemś bardzo dalekiem. My starsi, jeśli mieliśmy raj kiedy w życiu, który został zburzony przeciwnościami, musimy później niejako zmuszać się do cieszenia się jaśniejszemi chwilami; dziecko natomiast żyje w ciągłym raju — który, jeśli łzy go zraszają smutnym jest lecz tylko na chwilę. Dlatego niech nikt uczony nie dowodzi, że dzieci przeważnie są nieszczęśliwe, tylko tak, powtarzam, trzeba im do tego dopomagać, a wówczas i my ich szczęściem, ich wiarą, nadzieją i miłością ożywieni, znajdziemy przyjemność i względne szczęście w życiu.

WYSOKOŚĆ FAL MORSKICH.

Każdy, kto przeżył burzę na morzu, opowiada zazwyczaj o niezmiernie wysokich falach. Tymczasem faktem jest, że wysokość tę przecenia się zazwyczaj. Interesujące szczegóły z tej dziedziny podał niedawno w wygłoszonym przez siebie odczycie dr. Cornish z londyńskiego Towarzystwa geograficznego, który już od lat zajmuje się prawie wyłącznie badaniem fal morskich, piasku, śniegu itp. Zdaniem jego, do utworzenia się fal trzeba ogromnej przestrzeni. Wysokość sąsiednich fal niewiele tylko się różni, rosną one powoli w kierunku otwartego morza. Badania swoje rozpoczął dr. Cornish w mniejszych zbiornikach wód i przechodził kolejno do coraz większych aż do oceanu. Pomiary, przedsięwzięte na jeziorze, genewskiem, dowiodły, że najwyższe fale mają tak wysokość 2 $^3/_4$ mtr. Na ogromnem jeziorze Górnem w Ameryce obserwował fale o długości 90 mtr., a prawie 7 mtr. wysokości. W zamkniętych morzach, jak n. p. Śródziemnem, lub częściowo zamkniętych, jak Chińskie, jest wysokość fal nieco większa, lecz rosną one powolniej. Szybszy jest przyrost tam, gdzie morze takie graniczy z oceanem. Na Atlantyku spotyka się fale o długości 130 mtr., podczas silnych burz w odległościach nie większych jak 600 mil morskich od wybrzeża. Oficerowie marynarki, mający doświadczenie w tym kierunku i bynajmniej nie skłonni do przesady, opowiadają o falach wysokości 24 do 30 mtr. Niemiecki parowiec transatlantycki „Augusta Victoria“ i angielski „Lusitania“ spotykały się z takiemi olbrzymiemi falami podczas burz w ostatnich miesiącach. Dr. Cornish nie kwestyonuje tych faktów, wskazuje jednak, że fala rozbijając się o korpus statku, podnosi się, że więc na tej podstawie nie można wysnuwać ostatecznych wniosków.



Po pracy.

O piorunach.

Lubo dowiedzionem jest, że zaledwie jeden człowiek na milion ginie od pioruna, mimo to ludzie ogólnie obawiają się śmierci tego rodzaju i rozmaite stosują środki ostrożności, ażeby się od niej zabezpieczyć. Jedni zapuszczają w czasie nawałnicy rolety, zamykają drzwi i okna, inni chronią się do piwnicy, naśladując bezwiednie przykład cezara Augusta, którego nerwy nie znosiły burzy. Nie jest to jednak miejsce tak bezpieczne, jak sobie wyobrażamy, wiadomo bowiem, że piorun dosięgnąć może głębokości 30, a nawet 40 stóp. Cesarze japońscy kryją się podczas burzy do groty podziemnej, nad którą umieszczona jest cysterna. Jest to bardzo dobry środek, gdyż woda stanowi doskonały przewodnik elektryczności i może zabezpieczyć od pioruna tych, co się pod nią znajdują. Źle jednak wyszedłby ten, ktoby podczas burzy zanurzył się po szyję w stawie lub jeziorze.

Arago dowodzi, że piorun, uderzając w wodę, nieraz zabija ryby. Raz po burzy musiano wywieźć z jeziora Cirunitz 28 wozów ryb zabitych w ten sposób. Starożytni byli przekonani, że skóry fok i wężów zabezpieczają od wypadku, inni doradzali przywdziewanie w tym wypadku szat jedwabnych. W tem ostatniem twierdzeniu jest nieco prawdy, wiadomo bowiem, że jedwab jest złym przewodnikiem elektryczności. Zdarzyło się niedawno, że piorun uderzył w kościół; ksiądz ubrany w jedwabny ornat ocalał, kiedy tymczasem dwie osoby obok niego zostały zabite. Zauważono też, że zwierzęta mające włosy i pióra ciemne, częściej ulegają wypadkom, niż te, które posiadają jasne pokrycie skóry. Każdy podczas burzy zamyka okno, żeby się zabezpieczyć tak od deszczu jak i pioruna. Jest to bardzo dobra ostrożność, gdyż przeciąg powietrza może sprowadzić piorun, nie sądźmy jednak, aby szyby szklane mogły nas ochronić od tego. Zdarza się nieraz, że piorun je przebija, zmieniając szkło w drobny pyłek. Najlepszym środkiem bezpieczeństwa jest porunochron; każdy dom powinien być w niego zaopatrzny. Tam jednak, gdzie nie ma piorunochronów, Franklin radzi trzymać się jak najdalej od komina, gdyż sadze są bardzo dobrym przewodnikiem elektryczności i piorun najczęściej przez komin wpada do domu. Najpewniejszem miejscem jest sam środek pokoju.

Osobom bojaźliwym Franklin doradza leżeć w hamaku zawieszonym na jedwabnych sznurach. Ludzie sami przez swoją nierozwagę zwiększają jeszcze niebezpieczeństwo w domu, gdyż zwykli się zbierać wszyscy razem w jednym pokoju, nie pomnąc na to, że wskutek nagromadzenia się wielu osób w jednem miejscu, powstaje przez oddychanie większa ilość pary, która może ściągnąć piorun. Ludzie zaskoczeni burzą w polu, chronią się pod drzewa, bez względu na to, że mokre drzewo jest najlepszym przewodnikiem elektryczności. Trzeba stanąć w odległości 30 stóp od wysokiego drzewa lub budynku. Bardzo jest niebezpiecznie biedz podczas burzy, gdyż wskutek tego wytwarza się prąd powietrza, który może sprowadzić piorun.

Kolczyki.

W każdym człowieku tkwiła od najdawniejszych czasów i do dzisiaj tkwi chęć podobania się, chęć upiększenia. Dając wyraz tej chęci, zdobił on się w różne cacka i świecidełka: noszenie kolczyków było także jednym ze sposobów upiększania się. Dzicy noszą kolczyki nietylko w uszach, lecz w nosie, ustach lub brodzie; my nosimy je tylko w uszach, pewni, że dodaje to wdzięku. Lecz czyż ucho pięknie ukształcone potrzebuje ozdoby, czy ono samo nie zdobi swej właścicielki harmonią kształtów? A brzydkie, duże ucho czy zyska może co na założeniu kawałka złotej blaszki? Chyba nie.

Dawniej mniemano, że przekłucie uszu wpływa zbawiennie na oczy i na zęby, dziś z pewnością nikt jnż nie wierzy w ten zabobon. Należałoby nawet walczyć ze zwyczajem noszenia kolczyków, gdyż może on pociągnąć za sobą smutne następstwa. I tak np. ciężki kolczyk może łatwo rozerwać delikatną część ucha, w której tkwi, a często ucho zaognia się lub może wytworzyć się róża.

Samo przekłuwanie ucha urąga wszelkim przepisom hygieny i bywa nieraz przyczyną zakażenia krwi lub letargu, a dzieci dostają często wyrzutów na całej głowie. Systematyczne drażnienie ucha powoduje czasami utworzenie się nowotworów, które nie rzadko przeradzają się w raka, a i gruźlica łatwo wchodzi tą drogą.

Estetyka więc i zdrowotność przemawiają za zarzuceniem zwyczaju noszenia kolczyków.

Czem jest redaktor?

Redaktor jest wszystkiem, istota wszechświatowa, która powinna i musi wszystko wiedzieć. Redaktor potrafi tylko dlatego pisać o wszystkiem, ponieważ nietylko wszystko wie, ale jeszcze coś nadto, i jest w każdej dziedzinie fachowcem. Jest on „doktorem". Jest „sędzią", który musi wyroki robić, a równocześnie „adwokatem" publicznej opinii. Jak „krawiec" używa on nożyc, a jak „stolarz" i „introligator" obchodzi się z klajstrem lub gumą. Jak „myśliwiec" goni za nowinami i błędami drukarskimi, często też wie, jak „rybak" powinien w mętnej wodzie ryby łowić. Jest on „malarzem", który także nieznaczną rzecz ładnie potrafi omalować; jest „farbiarzem", który wszystkiemu daje swój kolor. Jak „gospodarz" i „kaznodzieja" wysiewa dobre ziarno i stara się jako „krytyk" o to, aby kąkol się nie rozrósł. „Kowalowi" i „ślusarzowi" równa się dlatego, że kuje błędy ludzkie, aż nastąpi polepszenie. Każdy „tokarz" mógłby się do niego udać w naukę, jeżeli chodzi o pisanie wierszy. Jak dobry „oberżysta" nalewa ludziom czystego i szynkuje tylko „duchowego". Redaktorzy są „pionierami" postępu. Jak „palacze" robią oni publiczności gorące głowy. Są oni „poetami ludu" i potrafią jak rzeźbiarze dłutem obrabiać głupotę. Jako „golarz" musi dziennikarz się znać na goleniu bez mydła; nie śmie pozostawić na swym przeciwniku dobrego włoska, a od czasu do czasu musi szanownej publiczności dobrze wyszorować głowę. Jak „czyściciele ulic" muszą redaktorzy wymiatać ze świata śmieci, jak „nosiciele wody" czerpać z morza życia. Redaktorzy są „uprzywilejowanymi" hodowcami „kaczek" i „politycznymi sternikami", aby okręt nie wjechał na skałę.

Ile warta kobieta?

Tak pytają, jak wiadomo, nietylko niecywilizowane narody, jeśli chodzi o nawiązanie związku małżeńskiego między kobietą i mężczyzną. Bruno Beheim Schwarzbach w swojem dziele pod tytułem: „Miłość i co z tem ma związek" w taki sposób rzecz przedstawia: W Kefirze cenią kobietę na dwa do dziesięciu wołów — których młody małżonek rodzicom ma dostarczyć. W Ugundzie wartość jej wynosi sześć igieł i szkatułkę patronów. W Kairze: para trzewików, starych lub nowych; to zależy... Na Tatarszczyźnie taką wagę masła ile kobieta zaważy. W Kamczatce:



Na wodzie.

jeden do dziesięciu reniferów. W północnej Australii: pudełko zapałek. W Nawajo (Meksyk): do dwunastu koni. W Unyoro (Południowa Ameryka) artykuły spożywcze na wypłatę. U niektórych plemion Afryki i Azyi jest zwyczaj, że oblubieniec wysługuje sobie żonę u jej ojca, tak jak niegdyś Jakób Rachelę. Ojciec wyznacza pewną sumę za swoją córkę, a kiedy starający się odrobił ją, wówczas dostaje narzeczoną. Tylko w Europie kończy autor, nie bez ironii, — cena żony jest nieokreśloną, ale jakąś sumę zapłacić musi ona, ażeby dostać małżonka.



Grób Böcklina.

Nowe wagony oziębiające.

„Societe Francaise de wagons aerothermiques“ skonstruowało nowe wagony oziębiające do przewozu materyałów spożywczych, kwiatów i wogóle przedmiotów, które wskutek ciepła mogą uledz zniszczeniu przy przewożeniu koleją. W porównaniu z istniejącymi dotychczas systemami nowy wagon ma tę wielką zaletę, że może być włączony do każdego pociągu, jest bowiem chłodnią sam w sobie; nie wymaga też specyalnych maszyn, jakich używa się np. w Niemczech przy wagonach oziębiających. Jak wiadomo łączy się tam kilka takich wozów i poprzedza je wozem maszynowym, skąd zimno rurami jest przeprowadzane do nich. Nowy wóz francuski jest zbudowany z materyału źle przewodzącego ciepło, w oddzielnej niewielkiej przegrodzie znajduje się maszyna

kompresyjna, którą wprawia się w ruch w ten sposób, że oś jej łączy się skórzanym pasem z osią najbliższą wozu. Jako środka oziębiającego używa się chlorku metylowego. Można go skroplić przy niewielkiem stosunkowo ciśnieniu, nie uszkadza on przewodów miedzianych i nie ma tak przykrej woni jak amoniak lub kwas siarkowy. Maszyna kompresyjna wtłacza gaz do kondensatora, umieszczonego pod dnem wozu i zaopatrzonego w zbiornik na płynny chlorek metylowy. Stąd dostaje się on do rur oziębiających. Za pomocą wentyli, które regulują różnice temperatury gazu przy wejściu i wyjściu z rur oziębiających, można dowolnie zmieniać ochłodzenie wewnątrz wozu. W użyciu nowy wagon francuski okazał się ogromnie praktycznym. Przy szybkości pociągu 40 kilometrów na godzinę i przy zewnętrznej temperaturze 20 stopni ciepła, można było temperaturę wewnątrz wozu w przeciągu niespełna trzech kwadransów obniżyć do zera.

Nakładem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie opuściło prasę piękne wydawnictwo, poświęcone rocznicy Grunwaldzkiej, wspaniała kolorowa reprodukcya arcydzieła mistrza Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“. Kopia wielkości imponującej (1 metr 6 cm. długości na 46 cm. wysokości nie licząc marginesu) wykonana bez zarzutu pod względem wierności w oddaniu wszystkich zalet oryginału, wywiera potężne wrażenie. Fakt, że obraz znajduje się w posiadaniu Towarzystwa Zachęty pozwolił na wyjątkowo ściśle trzymanie się oryginału, zastosowanie zaś wielkiego formatu wpłynęło nader korzystnie na wyrazistość całej kompozycyi, oraz jej poszczególnych fragmentów. Dość powiedzieć, że głowy, te wspaniałe matejkowskie arcydzieła wyrazu są przeszło trzycentimetrowej wielkości, za gotówkę mk. 17 — na raty mk. 18 — po 3 mk. mieś.

Praca nad reprodukcyą prowadzona pod ścisłym nadzorem i kierunkiem artystycznym Komitetu Tow. Zachęty trwała przeszło rok. Wyniki zaś jej są tego rodzaju, że obraz może stanowić ozdobę każdego domu polskiego, tem bardziej, że na wydawnictwo to podjęte w celach dalekich od spekulacyi oznaczono cenę dla wszystkich przystępną.

Skład główny wydawnictwa w naszym zaborze powierzyło Towarzystwo polsko-katolickiej księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Sp. w Poznaniu, u której obraz zamawiać można wprost, jak również u agentów i kolporterów dla księgarni tej pracujących.

Łamigłówki.

Łamigłówka sylabowa.

Wyrazów 15. Początkowe i końcowe litery składają znane przysłowie polskie. Sylaby: Ió-Wie-ba-szke-Ze-burg-O-stęp-Tell-bro-ni-go-Su-lo-gu-pla-Za-tąn-E-cyk-Re-non-E-o-sto-Le-dym-Ku-ryb-rąn-Ła-das-Cza-li-Ar.

Znaczenie wyrazów:

1. Ptak brodzący.
2. Hufiec wojska.
3. Rzeka wypływająca z Czech.
4. Rodzaj małpy.
5. Zwierzę ssące, żyjące w morzach.
6. Dwie samogłoski.
7. Miasto w Szkocyi.
8. Rodzaj małego konia.
9. Moneta zdawkowa.
10. Oswobodziciel Szwajcaryi.
11. Sławna śpiewaczka polska.
12. Imię męzkie.
13. Rzeka w Hiszpanii.
14. Wódz sławny Spartański.
15. Stołeczne miasto na wyspie Cefalonii.

Szarada.

Pierwsza z drugą mówi śmiele
O jakimś kościele,
Trzecia sama mówi tobie
O trzeciej osobie,
A wszystko razem
Jest gry obrazem,
Lub z odwiecznych wiedzie toni
Człowieka i z berłem w dłoni.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 9. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 3 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 24.

Rozwiązania

łamigłówek z nr. 21.:

I. Łamigłówki krzyżowej:

1. Mazepa 2. Polska 3. Egerya 4. Seneka. 5. Koanza 6. Muzyka 7. Satyra 8 Dembea 9. Żyrafa 10. Skarga 11. Sahara 12. Olinda.

II. Łamigłówki krysztalowej:

w
l **e** w
t u **r** e k
I w a **n** h o e
W e r n y h o r a
p a c **h** o l ę
b r **o** n a
e **r** a
a

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

K. Balcerski, Marya Baranowska, Stefcia Jaworowska, Leokadya Konopińska, Stanisław Piętrzak, Zofia Starkówna.

Z obczyzny i zagranicy:

Antoni Matuszewski z Kopenhagi (Dania), Leon Sochaczewski z Frankfurtu n/M., Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia).

Nagrodę otrzymali:

Stefcia Jaworowska z Poznania, Antoni Matuszewski z Kopenhagi, Walerya Vogtowa z Wattenscheid.

(Łamigłówki nadsyłane przez Czytelników chętnie umieścimy.)

DLA NASZEJ DZIATWY.

Kocham Poznań!

Kocham Poznań! Cała dusza
Lgnie do tego grodu,
Kędy orzeł z nad ratusza
Patrzy w głąb narodu!
Kocham Gniezno i tum stary,
Gdzie dawne drżą echa,
Gdzie kolebka świętej wiary
U grobu Wojciecha.
Kocham również i Kruszwicę,
To Piastów kołyska,
Kędy Gopła jasne lice,
W niebie się odbłyska.
A gdy dalej myślą pilną
Ruszę za te ściany,
Częstochowę kocham, Wilno
I Kraków kochany.
Częstochowa, Jasna Góra,
Bożą Matkę gości,
Choć nad nami wisi chmura,
Wytrwamy w miłości!
I wileńska Matka Boska
Zdawna cudem słynie,
Chociaż Litwie grozi troska,
Nie padnie, nie zginie!
Kocham Kraków, Wawel stary,
Świątyń ciemne lochy,
Kędy słychać ciche gwary,
Gdzie śpią królów prochy.
Kocham ciebie, o Warszawo
Królewska stolico,
I do ciebie w piersi żwawo
Serce drży tęsknicą.
Kocham kraj nasz dookoła,
Miłość ma wciąż wzrasta,
Kocham rzeki, góry, sioła,
Lasy, wioski, miasta!

Paula Wężyk.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Potem dorzucił chłodno:

— Chwilę jeszcze, a byłbym panu zdruzgotał rękę. Miałbyś to tylko, na co zasłużyłeś w zupełności. Jakto pan, stary przyjaciel, którego szanuję i któremu odsłaniam swoje incognito, mogłeś tak nadużyć mego zaufania' To źle... to bardzo źle!... Ale, co panu jest?

Ganimard milczał. Ta ucieczka, za którą czuł się odpowiedzialny — czyż nie on bowiem swym sensacyjnem zeznaniem wyprowadził w błąd sprawiedliwość — ta ucieczka wydała mu się plamą w jego nieskazitelnej dotąd służbie. Łza spłynęła po zwiędłym policzku.

— O mój Boże! Kochany panie Ganimard, nie psuj sobie krwi: gdybyś ty był milczał, rolę twą odegrałby ktoś inny. Moja w tem była głowa. Uspokój się, czyż mogłem pozwolić, aby skazano Baudru?

— A więc — szepnął zawstydzony Ganimard — to pan byłeś tam? I pan jesteś tutaj?

— Ja, zawsze ja i tylko ja!

— Czyż to możliwe?

— O, na to wcale nie potrzeba być czarnoksiężnikiem. Wystarcza — jak mówił zacny prezes — przygotowywać się przez lat dwanaście, aby dać sobie radę w każdem zdarzeniu.

— Ale twarz pańska? Oczy?

— Zechciej pan zrozumieć, że nie tylko przez zamiłowanie wiedzy ośmnaście miesięcy pracowałem w Saint-Louis, u doktora Altier. Myślałem, że ten, który z czasem będzie miał zaszczyt nosić nazwisko Arseniusza Lupin, powinien się wyłamywać z pod zwykłych praw pozorów i tożsamości. Wygląd zewnętrzny? Ależ to jest coś, co może być zmieniane dowolnie. Naprzykład podskórne zastrzyknięcie parafiny nadyma skórę w danem miejscu. Kwas pyrogalusowy przekształci europejczyka na mohikana. Sok jaskółczego ziela ozdabia skórę najefektowniejszemi liszajami i wrzodami. Pewien związek chemiczny działa na porost brody i włosów, a inny zmienia dźwięk głosu. Dodaj pan do tego dwa miesiące systematycznego głodzenia się w celi pod N-m 24-m, tysiąckrotnie otwieranie ust, według pewnego, wystudyowanego grymasu, pochylanie głowy i garbienie się w ten, a nie inny sposób, wreszcie pięc kropel atropiny do oczu, a będą błędne, nieprzytomne. I dzieło dokonane!

— Pojąć nie mogę, jak stróże...

— Metamorfoza dokonywała się stopniowo. Nie mogli więc dostrzec zmiany codziennej.

— A Dezydery Baudru?

— Baudru istnieje rzeczywiście. Spotkałem tego biedaka w roku zeszłym, zupełnie przypadkowo. Ma on ze mną bardzo lekkie podobieństwo w rysach. Przewidując możliwość dostania się do kozy zaopiekowałem się poczciwcem. Niezwłocznie zacząłem go obserwować, studyując bacznie cechy podobieństwa — równocześnie starałem się o ile możności zacierać różnice, które między nami istniały. Przyjaciele moi pokierowali sprawę w ten sposób, że poczciwy Baudru spędził noc w Dépôt. Wyszedł z tamtąd prawie równocześnie ze mną. Fakt ten łatwo było ustalić. Nie zapominaj pan, że trzeba było koniecznie, ażeby odnaleziono ślady jego pobytu w Dépôt. W przeciwnym razie bowiem policya zaczęłaby dochodzić kim jestem. Tymczasem, dając jej w ręce Dezyderego, łatwo było przewidzieć, że się nań rzuci skwapliwie. Było to nieuniknione. Pomimo trudności prawie niezwalczonych, jakie przedstawia zamiana więźniów, wolała raczej uwierzyć w podstawienie, niżeli się przyznać do swej głupoty.

— Tak, tak, istotnie — mruczał Ganimard.

— Wreszcie — zawołał Arseniusz — miałem w swych rękach atut pierwszorzędny, z którego korzystałem od początku: wszczepiłem w ogół przekonanie, że ucieczka moja jest nieuniknioną. Czy wiesz pan — jaki błąd zasadniczy popełniliście wszyscy w tej zaciętej walce, jaką prowadziłem ze sprawiedliwością o moją wolność osobistą? Wyście mię posądzali o czcze przechwałki, jak pierwszego lepszego młokosa. Wyobrażaliście sobie, że upoiło mnie powodzenie! — Mnie, Arseniuszowi Lupin, przypisywać słabość podobną?! Tak, jak w sprawie Cahorna, nie zrozumieliście położenia, nie powiedzieliście sobie: „Jeżeli Arseniusz Lupin głosi o swej ucieczce, znaczy, że ma do tego powody ważne". Dalibóg, raz przecież zrozum pan, że powodzenie ucieczki domagało, aby stała się ona artykułem wiary, przekonaniem głębokiem, powszechnem, prawdą oczywistą, jak słońce. I stało się to pod wpływem mojej woli. Arseniusz Lupin ucieknie. Arseniusz Lupin nie będzie na swoim procesie! Gdy pan wyrzekłeś w sądzie: „Ten człowiek nie jest Arseniuszem Lupin", wydało się wszystkim rzeczę najnaturalniejszą w świecie, że, istotnie, nie jestem Arseniuszem Lupin. Gdyby w tej chwili zwątpił o tem jeden, jedyny

człowiek, gdyby ten człowiek zapytał: „a jednak jeżeli to jest Arseniusz Lupin?“ byłbym zgubiony. Gdyby zamiast wpatrzyć się we mnie, z myślą, iż nie jestem Arseniuszem Lupin — jak to zrobiłeś pan i wszyscy inni — spojrzano na mnie z myślą, że nim być mogłem, niewątpliwie zostałbym poznany, pomimo wszystkich przedsięwziętych środków ostrożności. Lecz nie bałem się tego wcale, myśli podobnej nikt powziąć nie mógł. Przeczyłaby temu najprostsza logika, najzwyklejsza psychologia.

Nagle schwycił Ganimarda za rękę:

— Słuchaj, panie Ganimard, powiedz mi prawdę, czy w tydzień po bytności u mnie w więzieniu la Santé, nie oczekiwałeś mnie o godzinie czwartej po południu, jakeśmy się ułożyli?

— A historya z karetką więzienną? — zapytał Ganimard, unikając odpowiedzi.

— Drobnostka! Po moi przyjaciele kazali odrestaurować stare, zużyte pudło, spróbowali szczęścia. Lecz ja wiedziałem dobrze, iż projekt ten może się udać jedynie przy wyjątkowo pomyślnym zbiegu okoliczności. Uważałem też za rzecz praktyczniejszą wrócić jeszcze do więzienia i chybionej ucieczce nadać rozgłos jaknajwiększy. Zuchwalstwo pierwszej czyniło drugą faktem dokonanym.

— Tak więc cygaro...

— Wydrążone było przezemnie, podobnie jak nóż...

— Bileciki?

— Sam je napisałem.

— A tajemnicza przyjaciółka?

— Ona i ja — stanowimy jedno. Zmieniam na żądanie charakter pisma.

Ganimard zamyślił się chwilę. Potem rzekł:

— Jakto być może, iż w oddziale antropometrycznym, gdy wypełniano kartkę Baudru, nikt się nie spostrzegł, że jest ona identyczną z kartką Arseniusza Lupina?

— Kartka Arseniusza Lupin nie istnieje!

— Co pan mówi!

— A raczej kartka ta jest fałszywą; Długo badałem tę kwestyę. System Bertillon'a obejmuje najpierw rysopis twarzy — sam się pan mogłeś przekonać, jaka to rzecz zawodna — potem zaś rysopis pomiarowy. Bierze się pomiar głowy, palców, uszu, i. t. p. Sprawdzania nie ma.

— A więc...

— Przedewszystkiem trzeba zapłacić. Przed samym moim powrotem z Ameryki, jeden z urzędników oddziału antropometrycznego za opłatą pewnej kwoty zapisał fałszywą cyfrę przy braniu pierwszej miary. Wystarczyło to, aby spaczyć cały system. Karta trafiła do zupełnie niewłaściwej szufladki. Wobec tego kartka Baudru nie mogła się zgadzać z kartką Arseniusza Lupin.

Po krótkiem milczeniu Ganimard pytał znowu:

— Cóż pan zamierzasz teraz?

— O, — zawołał Lupin — teraz muszę odpocząć, odżywiać się forsownie, powoli stawać się sobą.

To bardzo wygodnie być Dezyderym Baudru lub jeszcze kimś innym, zmieniać osobowość, jak rękawiczki, wybierać sobie dowolnie wygląd zewnętrzny, głos, spojrzenie, charakter pisma. Zdarza się jednak, że po wielu takich przeobrażeniach nie odnajdujemy siebie... i to właśnie jest bardzo smutne. W obecnej chwili doznaję podobnego uczucia, jak ów człowiek, który zgubił swój cień. Muszę siebie odszukać

Przeszedł się kilkakrotnie tam i z powrotem. Zmrok już zapadał. Nagle zatrzymał się przed Ganimard'em.

— Zdaje mi się, że już nic sobie nie mamy do powiedzenia.

— Tak — potwierdził inspektor... pragnąłbym tylko wiedzieć, czy i tym razem odsłonisz pan prawdę... czy ogłosisz pan wszystkie szczegóły ucieczki... mój błąd...

— O, uspokój się pan! Nikt się nigdy nie dowie, że to Arseniusza wypuszczono na wolność. Pocóż miałbym pozbawiać swą ucieczkę pierwiastka cudowności? Przeciwnie, pragnąłbym roztoczyć dokoła siebie ciemności jaknajgęstsze. Nie obawiaj się więc niczego, kochany przyjacielu. A teraz do widzenia! Obiaduję dziś w mieście. Zaledwie mam czas się przebrać.

— Zdawało mi się, że pożądasz wypoczynku!

— Niestety, są pewne obowiązki toawrzyskie, od których wyłamać się nie sposób. Wypoczynek rozpocznie się od jutra.

— Gdzie pan dziś obiadujesz?

— W ambasadzie angielskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR 23

(Ciąg dalszy.)

Pułaski wręcz przypisywał przegranę brakowi karności i wprawy w żołnierzu, który bił się dobrze, ale w obrotach był nie raźny i nie tak posłuszny komendzie jak należało.

Ze szczerotą żołnierską powtórzył przy dowódzcach Washingtonowi, iż wojsko potrzebuje surowszego w kluby ujęcia.

To jedno już wyznanie źle dlań uprzedziło ludzi nawykłych do rozprzężenia.

Właśnie, gdy wrażenie tych słów było najżywsze, bo je po obozie powtarzano, przyszły oczekiwane potwierdzenia od kongresu i Pułaskiemu oddano nad jazdą dowództwo.

Znalazł w niej już gotową niechęć ku sobie i postanowioną zgodnie potajemną zmowę, aby krzyżować jego rozkazy, a nie dać ująć się w zapowiedziane kluby.

Owa tak szumnie ochrzcona brygada Pułaskiego była zbieraną drużyną awanturników, podzieloną na dwa pułki, liczące razem około czterech set koni; regiment dragonii i tak zwanej rajtaryi.

Dragonami dowodził pułkownik Molens, człek odważny, ale samowolny, opryskliwy, gwałtowny i nienawidzący cudzoziemców, z czem się głośno przy każdej sposobności odzywał.

Pomiędzy oficerami byli Francuzi, Włosi, niemieckie zbiegi z pułków angielskich, ludzie nieokreślonego pochodzenia i narodowości, więcej do rabunku, partyzantki, wycieczek drapieżnych usposobieni, niż do porządnej służby wojskowej.

Wszystko to o posłuszeństwie i rygorze słuchać nawet nie chciało.

Zadanie Pułaskiego było prawie nie do wykonania, bo wśród wojny i pochodów zaprowadzenie karności między ludźmi, co się za lepszych nad niego uważali — rozbijało się o niepokonane trudności.

Oficerowie, żołnierze, cała ta czereda związana wspólnym interesem, stawiła się przeciw niemu mężniej, niż przeciw nieprzyjacielowi. Nawykli do bezkarności, nie znając charakteru Pułaskiego, rachowali niepłonnie, iż go swoim postępowaniem zmuszą do zrzeczenia się dowództwa. — Skryty milczący opór, ciche szyderstwa, przechwałki, znosić musiał co chwilę.

Pułaski schnął, bladł, usta zacinał, ażeby nie wybuchnąć, w końcu parę razy gwałtownie się uniósł, dając poznać, że sobie przewodzić nie dozwoli, ale niepodobna było codziennie odwoływać się do wodza i na nieposłusznych składać sądy. — Musiał znosić. Niezupełna znajomość języka utrudniała położenie.

Karol w przeciągu pierwszych kilku dni miał pare ostrych starć, stając w obronie Pułaskiego, a Rogowski klął się, że w boju go nie odstąpi na krok, bo z taką hałastrą nawet zdrady i postrzału obawiać się było można.

Po klęsce pod Brandywine wojska Washingtona cofnęły się w kierunku Chester. Filadelfia była stracona.

Znowu musieli przebywać rzeki, przebrnąć nazad Shuykill i opierając się nadchodzącym Anglikom, przedzierać przez błota, lasy i dzikie pustynie.

Główne siły angielskie gromadziły się około Germanstown; kongres wcześnie przeniósł się do Lancastre. Opuszczoną stolicę zajął był Cornwallis, który zmuszony został rozdzielić swe siły.

Część wojsk wysłał na zdobywanie małych twierdz, przecinających komunikacyę między Filadelfią, a niższą Delawarą i flotą u ujścia stojącą, która dostarczała zapasów.

Wkrótce po wycofaniu się z nieszczęśliwego spotkania, Pułaski pociągnął razem z Washingtonem na Germanstown.

Wódz rachując na uszczuplone Anglików siły, chciał co rychlej powetować klęskę i zwycięstwem w wojsku ducha odżywić.

Po ciężkim marszu stanęli dniem jesiennym pod Germanstown.

Ranek był dżdżysty, mgła gęsta później nie dopuszczała się lepiej rozpatrzeć w położeniu Anglików. — Wszakże niecierpliwe wojska się starły.

Jak wprzódy tak i teraz, pierwszy napad powiódł się Amerykanom, generał Conway z prawem skrzydłem, w którym był i Pułaski ze swoją brygadą i celnemi strzelcami — porzuciwszy Anglików — wparł się do środka ich obozu, przypierającego do miasteczka.

Pułaski na czele swej jazdy, dając przykład męstwa, przeleciał na wskroś obozowisko angielskie, rąbiąc tak zaciekle, że struga krwi z pałasza jego lała mu się w rękaw munduru. Nic to wszakże nie pomogło, znowu pojedyńcze świetne czyny nie rozstrzygnęły walki, nieszczęśliwej jak pierwsza.

W budynku nakształt blockhasu obwarowanym na prędce, pułkownik Musgrave zasadziwszy się z piechotą, oparł się kilku szturmom dzielnym ogniem.

Washington rachował na to, że Cornwallis powstrzyma oddział na odsiecz wysłany i nie da mu w czas pospieszyć; stało się to inaczej, posiłki przebiwszy się, nadciągnęły i Amerykanów przemagającą siłą wyparto.

Poniósłszy znaczną w ludziach stratę, cofać się musiano znowu... rozbitych popłoch ogarnął i ciężko skupić się było.

Dwa te smutne doświadczenia wskazały, że należało się wstrzymać od działań zaczepnych, dopóki by wojsko i świeże zaciągi lepiej zorganizowane nie były.

Washington przeszedł rzekę Perkiomi i w porządku zajął stanowisko między wodami Shuykill i Shippah.

Po tych porażkach, które z bliska po sobie nastąpiły, tylko wytrwałość Washingtona i zaufanie w nim kongresu, utrzymać zdołało ducha. Zniechęcone żołnierstwo, zniszczeni mieszkańcy szemrać poczynali, domagając się pokoju i zgody. Dezercya w szeregach dotkliwie czuć się dawała.

Tę chwilę zwątpienia, nieuchronną w wojnach jak amerykańska, godzinę przesilenia pobierczą, maluje Thomas Paine w wydanem wówczas pisemku — „Są to czasy próby dla serc ludzkich“. — Letni żołnierz, błyszczący patryota w tych chwilach odmawia ojczyźnie posługi. Zaprawdę ten, który teraz dotrwa, zasługuje na miłość i dziękczynienie każdego obywatela, każdej niewiasty. Z podziwem patrzym, jak szybko przestrach się szerzy, jak żywo kraj cały przelata. Każdy naród swego czasu przeżyć musiał ten dzień trwogi.

Ma on i dobrą swą stronę, przestrach trwa krótko, a serce po nim krzepi się i mężnieje. Paniczne te trwogi są kamieniem pobieżnym poczciwości i podłości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— A jednak — seryo przerwała Genowefa — byłoby to najlepiej, mój Maurycy; bo taka miłość jest występna.

— A czy i panu Morand to samo powiedziałaś? — rzekł Maurycy, którego opamiętała tak nagła oziębłość.

— Pan Morand nie jest tyle szalonym co ty, mój Maurycy, i nie widziałam nigdy potrzeby wskazywania mu sposobu w jaki ma postępować w moim domu.

— Założę się — z ironicznym uśmiechem odrzekł Maurycy — że kiedy Dixmer obiaduje w mieście, Morand nigdy zapewne się nie oddalił. Ah! jego to należało stawić przeciw mnie, Genowefo, aby mi nie dozwolić kochać cię; dopóki bowiem ten Morand będzie przy tobie, nieodstępny ani na chwilę — dodał z pogardą — dopóty nigdy kochać cię nie będę, nie, lub przynajmniej nie przyznam się że cię kocham.

— A ja — zawołała Genowefa do ostateczności doprowadzona tem wiecznem podejrzeniem, wstrząsając ramionami młodzieńca — czy słyszysz Maurycy? przysięgam ci, i to raz na zawsze, abyś mi nigdy więcej tego nie wyrzucał, przysięgam że Morand nigdy nie wyrzekł do mnie ani jednego słowa o miłości, że mię nigdy nie kochał ani kochać nie będzie, a przysięgam na mój honor, na duszę matki mojej!

— Niestety! — zawołał Maurycy — o jakżebym chciał ci wierzyć.

— O! wierz mi, wierz, biedny szaleńcze — rzekła z uśmiechem, który dla wolnego od zazdrości zastąpiłby najczulsze wyznanie. — Wierz i jeżeli więcej wiedzieć pragniesz, dowiedz się że Morand kocha kobietę, przed którą nikną wszystkie ziemskie kobiety, jak nikną kwiaty polne przed gwiazdami na niebie.

— I jakaż to kobieta może tyle zaćmiewać wszystkie inne, skoro w ich liczbie jesteś ty Genowefo?

— Czyliż ta którą kochamy — przerwała z uśmiechem Genowefa, — nie jest zawsze dla nas arcydziełem stworzenia?

— A więc — rzekł Maurycy — jeżeli niekochasz mię Genowefo..

Młoda kobieta z niepokojem czekała końca pytania.

— Jeżeli nie kochasz mię — dodał Maurycy — możeszże mi przysiądz przynajmniej, że nie będziesz kochała nigdy innego?

— O! co na to, Maurycy, poprzysięgam ci z całego serca — zawołała Genowefa uradowana, że Maurycy sam jej ofiarował ten układ z sumieniem.

Maurycy ujął obie ręce, które Genowefa unosiła w niebo i okrył je gorącemi pocałunkami.

— Teraz — rzekł — będę dobrym, łatwym, ufnym, wspaniałomyślnym. Teraz będę się do ciebie uśmiechał, będę szczęśliwy.

— I nie będziesz nic więcej żądał?

— Będę się starał.

— Kiedy tak — powiedziała Genowefa — sądzę, że niepotrzebnie trzymają ci konia na pogotowiu. Sekcya może poczekać.

— O! Genowefo! chciałbym aby świat cały czekał, abym dla ciebie mógł mu kazać czekać.

Na podwórzu dały się słyszeć jakieś kroki.

— Idą zawiadomić nas że już na stole — rzekła Genowefa.

— Bojaźliwie ścisnęli sobie dłonie.

Był to Morand przybywający z oznajmieniem że u stołu czekają już tylko Maurycego i Genowefy.

I on także wystroił się na tên niedzielny obiad.

V.

Prośba.

Tak elegancko wystrojony Morand, nie mały przedmiot ciekawości stanowił dla Maurycego.

Najskrupulatniejszy modniś nicby nie znalazł do zarzucenia węzłowi jego chustki, fałdom jego butów, cienkości jego bielizny.

Ale wyznać należy, miał on zawsze te same włosy i te same okulary.

Wówczas Maurycy mniemał, że po raz pierwszy widzi te włosy i okulary w prawdziwem ich świetle, tyle go bowiem zaspokoiła przysięgą Genowefy.

— Niech mię dyabli wezmą — rzekł idąc na jego spotkanie; jeżeli teraz będę kiedykolwiek zazdrosnym o ciebie, wyborny obywatelu Morand. Ubieraj się, ile razy zechcesz, w twe odświętne suknie, i każ sobie nawet na święto zrobić ubiór ze złotego sukna. Od dnia dzisiejszego przyrzekam, że patrzyć będę tylko na twe włosy i okulary, a mianowicie że nigdy nie będę cię obwiniał o miłość dla Genowefy.

Łatwo pojąć że wskutek tak serdecznej przemowy, Maurycy daleko szczerzej uścisnął dłoń obywatela Morand, niż to zwykle miało miejsce.

Przeciw zwyczajowi na stole były trzy nakrycia. Maurycy wpadł na myśl że pod tym stołem spotkać może nóżkę Genowefy; noga więc zakończy niemy i miłosny frazes, który ręka rozpoczęła.

Usiedli. Maurycy patrzył na Genowefę z boku, bo siedziała między nim a światłem; włosy jej połyskiwały niebieskawo jak skrzydło kruka, cera iskrzyła się, oko zawilgotniało miłością.

Maurycy szukał i znalazł nóżkę Genowefy. Za pierwszem dotknięciem, którego wrażenia śledził na jej twarzy, spostrzegł, że rumieni się i blednie, lecz nóżka pozostała pod stołem spokojnie uśpiona w objęciach nóg jego.

Zdawało się, że Morand wraz ze swym surdutem koloru gołębiego gardła, odzyskał dowcip, ów dowcip tyle świetny, który Maurycy widział nieraz tryskającym z ust tego człowieka tak dziwuego, a któremu zapewne dzielnie byłby towarzyszył blask jego oczu, gdyby go nie gasiły zielone okulary.

Morand prawił tysiące dowcipów a nigdy się nie śmiał, i ta niezachwiana powaga stanowiła całą siłę jego żartów, cały ich wdzięk tak szczególny. Ten kupiec, który tyle podróżował z powodu handlu wszelkiego rodzaju skórami, począwszy od skór pantery aż do skór królika, ten chemik z czerwonemi rękami, znał Egipt jak Herodot, Afrykę jak Levailant, Operę zaś i buduoary jak najpierwszy modniś.

— Niech mię szatan porwie! obywatelu Morand — rzekł Maurycy — jesteś nietylko człowiekiem uczonym ale i mądrym

— O! wiele widziałem, ale nadewszystko wiele czytałem — odpowiedział Morand — a potem wszakże powinienem przygotować się nieco do życia jakie prowadzić zamyślam skoro zrobię majątek? A czas po temu, obywatelu Maurycy, czas!

— Bah! — rzekł Maurycy — mówisz jak starzec; a wieleż lat liczysz sobie?

Morand drżąc odwrócił się na to zbyt naturalne zapytanie.

— Trzydzieści ośm — powiedział. — Ah! otóż to jest, jak powiadasz być mądrym, taki człowiek żadnych lat nie ma.

Genowefa roześmiała się, Maurycy naśladował ją, Morand poprzestał na lekkim uśmiechu.

— A więc wiele podróżowałeś? — spytał Maurycy ściskając znowu nóżkę Genowefy, która powoli zaczynała się usuwać.

— Część młodości mojej — odrzekł Morand — spędziłem zagranicą.

— Chciałem powiedzieć raczej, wiele widziałeś, wiele zauważyłeś — zaczął znowu Maurycy — bo podobny tobie człowiek na wszystko z uwagą patrzy.

— Na honor, tak jest, wiele widziałem — przerwał Morand — powiem nawet, żem wszystko widział.

— Wszystko, obywatelu, to za wiele — wtrącił śmiejąc się Maurycy — ah! przypomnij no sobie...

— Ah! tak, masz słuszność. Dwóch rzeczy nie widziałem. Ale prawdę mówiąc, obie te rzeczy za dni naszych co raz są rzadsze.

— Cóż to takiego? — spytał Maurycy.

— Pierwszą — poważnie odpowiedział Morand — jest Bóg.

— Ah! — rzekł Maurycy — w braku Boga, obywatelu Morand, mogę ci pokazać boginię.

— A to jakim sposobem? — przerwała Genowefa.

— Tak jest, boginię zupełnie nowo utworzoną; boginię Rozumu. Mam przyjaciela, o którym nieraz wam wspominałem, jest nim kochany, drogi i dzielny Lorin, człowiek złotego serca, tę tylko jednę mający wadę, że ciągle robi czterowiersze i kalembury.

— I cóż stąd?

— To że uposażył miasto Paryż boginią rozumu pod każdym względem odpowiadającą swemu powołaniu, której nikt nie znalazł nic do zarzucenia. Jest to obywatelka Artemiza, była tancerka opery, a teraz sprzedająca perfumy przy ulicy Martin. Skoro tylko ostatecznie przyjętą zostanie na boginię, będę ją mógł ci pokazać.

Morand podziękował Maurycemu poważnem kiwnięciem głową i dodał.

— Drugą jest król.

— O! to daleko trudniejsza — z przymuszonym uśmiechem rzekła Genowefa — bo go teraz niema.

— Powinieneś był widzieć ostatniego — rzekł Maurycy — byłoby to rozsądnie.

— Winika stąd — ciągnął dalej Morand — że niemam najmniejszego wyobrażenia o ukoronowanej głowie.

— A ja widuję jednę, prawie co miesięc — rzekł Maurycy.

— Ukoronowaną głowę? — spytała Genowefa.

— Tak, a przynajmniej tę, co dźwigała wielki i bolesny ciężar korony — odpowiedział Maurycy.

— Ah! prawda, królowę — rzekł Morand — masz słuszność Maurycy, przykry to musi być widok...

— Czy ona w istocie tak piękna i dumna jak powiadają? — spytała Genowefa.

— Alboż jej pani nigdy nie widziałaś? — z kolei spytał zdziwiony Maurycy.

— Ja? nigdy — odpowiedziała młoda kobieta.

— Doprawdy — rzekł Maurycy — a to rzecz dziwna!

— I dlaczegoż dziwna? — przerwała Genowefa — mieszkaliśmy na prowincyi aż do roku 1791, od tego czasu mieszkam ciągle przy starej ulicy św. Jakuba wielce podobnej do prowincyi, tylko że tu mniej słońca, mniej powietrza i kwiatów; wszak znasz moje życie obywatelu Maurycy? zawsze ono było jednakie; jakże chcesz abym miała widzieć królowę? nigdy nie nastręczyła się mi podobna sposobność.

— I nie sądzę, abyś pani chciała korzystać z tej, która ci się może na nieszczęście nastręczyć? — rzekł Maurycy.

— Cóż przez to rozumiesz? — spytała Genowefa.

— Obywatel Maurycy — przerwał Morand — czyni tu alluzyą do rzeczy, która nie jest już tajemnicą.

— Do jakiej rzeczy? — spytała znowu Genowefa.

— Ależ do domyślnego skazania Maryi Antoniny i do jej śmierci na rusztowaniu męża swego. Słowem obywatel powiada, że niekorzystałabyś pani zapewne z możności oglądania jej w dniu, w którym wyjdzie z Temple i uda się na plac rewolucyi.

— O! tak jest, nie — zawołała Genowefa słysząc z jak zimną krwią Morand wyrzekł te słowa.

— Kiedy tak, ubieraj się pani w żałobę — dodał niezachwiany chemik — bo Austyaczki dobrze pilnują, a rzecz pospolita jest to czarownica umiejąca uczynić niewidzialnym każdego, skoro się jej tak spodoba.

— Wyznam jednak — rzekła Genowefa — że bardzo byłabym ciekawa widzieć tę nieszczęśliwą kobietę.

— Czy w istocie masz pani na to ochotę? — spytał Maurycy pragnący z zapałem uczynić zadosyć wszelkim rzyczeniom Genowefy. — Rzeknij pani tylko słówko; przyznaję obywatelowi Morand że rzecz pospolita jest czarownica; ale ja z tytułu urzędnika jestem niejako odczarowującym.

— Pan mógłbyś mi pokazać królowę; pan? — zawołała Genowefa.

— Rzeczywiście mogę to uczynić.

— A to jakim sposobem? — spytał Morand zmieniając z Genowefą szybkie spojrzenie, którego Maurycy nie dostrzegł.

— Nic naturalniejszego — powiedział młodzieniec. — Są zaiste urzędnicy, którym nie ufają, ale ja dosyć dałem dowodów mego poświęcenia się dla sprawy kraju, iżby mię nie miano wyłączyć z ich liczby. Wreszcie wolność wejścia do Temple zależy wspólnie od urzędników i przywódzców straży. Jakoż, naczelnikiem straży, tego dnia kiedy mam służbę, jest zawsze mój przyjaciel Lorin, który jak mi się zdaje, niewątpliwie powołany będzie na następcę po jenerale Santerre, ponieważ w ciągu trzech miesięcy awansował z kaprala na adjutantmajora. Przyjdźcie więc do mnie dnia, którego będę na służbie, to jest w przyszły czwartek.

— Teraz! — rzekł Morand — sądzę że spełniły się już życzenia pani. Widzisz pani, jak się to samo zalazło.

— O! nie, nie — powiedziała Genowefa — niechcę.

— I dla czego? — zawołał Maurycy — który w tych odwiedzinach w Temple widział tylko sposobność oglądania Genowefy w dniu, który miał go pozbawić tego szczęścia.

— Bo — rzekła Genowefa — możebym cię przez to naraziła kochany Maurycy, na jaką nieprzyjemność, a gdyby dla mojego widzi mi się, miała cię spotkać jaka troska, ciebie naszego przyjaciela, o! nigdy w życiu nie przebaczyłabym sobie tego.

— Otóż to mi mądrze powiedziano, Genowefo — odezwał się Morand. — Wierzaj mi, nieufność posunięto dziś do najwyższego stopnia, dziś najlepszych patryotów mają w podejrzeniu;

zrzeknij się zamiaru, który jak powiadasz, powzięłaś wskutek prostej ciekawości.

— Rzekłby kto, że zazdrościsz, Morandzie, i że nie widziawszy sam ani króla ani królowej, nie pozwalasz drugim oglądać ich. No, nie sprzeczaj się ale przyjdź także.

— Ja! o! nie.

— Już to nie obywatelka Dixmer pragnie zwiedzić Temple, ale teraz ja proszę ją i ciebie abyście chcieli rozerwać biednego więźnia. Bo skoro się raz zamkną za mną wielkie drzwi, jestem, szczęściem na dwadzieścia cztery godzin tylko, równie więźniem jak król, lub książę krwi królewskiej.

I silniej ścisnąwszy nóżkę Genowefy dodał:

— Przyjdź pani, błagam.

— Jakże, Morand — rzekła Genowefa — będziesz że mi towarzyszył?

— Będzie to dla mnie dzień stracony — powiedział Morand — i opóźni chwilę w której zaniecham mego handlu.

— A więc nie pójdę — odrzekła Genowefa.

— I dlaczegóż? — spytał Morand.

— Ej! dla Boga, to bardzo naturalne — mówiła Genowefa — bo nie mogę liczyć na mego męża że mi towarzyszyć będzie, a jeżeli pan mi odmawiasz, pan, człowiek rozsądny, człowiek mający lat trzydzieści ośm, nie będę śmiała sama stawić czoła posterunkom kanonierów, grenadyerów i strzelców, nie odważę się żądać widzenia się z urzędnikiem starszym odemnie zaledwie o lat trzy lub cztery.

— Ha — rzekł Morand — skoro obywatelko utrzymujesz, że obecność moja jest nieodzowną...

— No, no, obywatelu mądry, bądźże grzecznym jakbyś był poprostu zwyczajnym człowiekiem — mówił Maurycy — i poświęć połowę dnia żonie twego przyjaciela.

— Niech i tak będzie! — rzekł Morand.

— A teraz — przerwał Maurycy — proszę was tylko o dyskrecyą. Odwiedziny w Temple są zbyt podejrzanym krokiem, a jeżeliby skutkiem ich miałby być jaki przypadek, zaprowadziłby nas wszystkich pod gilotynę. Do pioruna! jakobini nie żartują! widzieliście jak się obeszli z żyrondystami.

— Tam do dyabła! — rzekł Morand — toś mi wbił klin obywatelu Maurycy; taki sposób zaniechania mego handlu wcaleby mi się niepodobał.

— Czyż nie słyszałeś — z uśmiechem przerwała Genowefa — że obywatel Maurycy powiedział nas wszystkich?

— A tak! wszystkich?

— Wszystkich razem.

— Tak, bezwątpienia — rzekł Morand — towarzystwo byłoby przyjemne; ale wolę ja moja ty piękna sentymentalności, żyć, aniżeli umierać w tem towarzystwie.

— No proszę, gdzież u licha miałem rozum — spytał Maurycy sam siebie — przypuszczając, że człowiek ten kocha Genowefę?

— A więc rzecz już postanowiona — zaczęła znowu Genowefa — Morand, do ciebie mówię, do ciebie roztargniony, do ciebie marzycielu; pamiętaj w przyszły czwartek: nie zaczynajże w środę wieczorem jakiego chemicznego doświadczenia, żeby cię znowu nie zatrzymało na całą dobę, jak to czasem bywa.

— Bądź pani spokojna — rzekł Morand — zresztą przypomnisz mi.

Genowefa wstała od stołu, Maurycy poszedł za jej przykładem; Morand miał to samo uczynić i może pójść za niemi, lecz jeden z rzemieślników przyniósł mu flaszeczkę z jakimś płynem, który zajął całą jego uwagę.

— Spieszmy się — rzekł Maurycy — uprowadzając Genowefę.

— O! bądź spokojny — odpowiedziała — zajął się przynajmniej na dobrą godzinę.

I młoda kobieta podała mu rękę, którą czule w swoich uścisnął. Wyrzucała sobie swą zdradę, ale szczęściem płaciła mu za te wyrzuty.

— Patrz — rzekła prowadząc Maurycego przez ogród i pokazując mu goździki wystawione na powietrze w jesionowej skrzyni, aby nieco odżyły. — Patrz jak mi kwiaty pomarły.

— Cóż je zabiło? twoja niedbałość — powiedział Maurycy — biedne goździki!

— O! nie, to nie moja niedbałość, ale twoje zapomnienie mój przyjacielu.

— A jednak bardzo małej rzeczy żądały, Genowefo; trochę wody i nic więcej; a nie bywając tu, sądzę, że dosyć ci na to pozostawiłem czasu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Będę więc wolną — dodała Helma patrząc na przyjaciela — wolną dla ciebie — mój ojciec..

— Nie mówiliście z nim?

— Nie chcecie wy z nim mówić o tem? — zagadnęła kobieta — rzecz byłaby zagajoną — ja przyjdę po was. Tak będzie lepiej.

Arnheim ręką tarł czoło długo, widocznie było mu to ciężkiem a odmówić nie chciał.

— Ojciec jest na dole u siebie — idźcie do niego, czekam was z powrotem — dodała.

— Jeszcze niema rozwodu! — odważył się uczynić uwagę doktor.

— Gdy żądają go obie strony? — dorzuciła Helma — idźcie i mówcie...

Rozkaz był tak stanowczy, iż profesor musiał być posłusznym — zeszedł powoli ze schodów rozmyślając, jak się to wszystko skończyć może. Na dole oznajmiła go służąca p. Riebie i przyniosła odpowiedź — Sehr angenehm!

Profesor wszedł sztywniejszy niż kiedykolwiek z postawą urzędową.

Radzca go lubił dosyć i przysłuchiwał mu się nieraz z zadowoleniem, przywitał go grzecznie i znać odwiedziny przypisując prostej formalności, począł mówić o pogodzie, potem o czemś uczonem, w co się najfatalniej zaplątał. Dr. Arnheim słuchał jakiś czas, w ostatku wstał i ukłoniwszy się zagaił, prosząc o maleńkie posłuchanie w niezmiernie ważnym interesie.

Nie domyślając się jeszcze, Riebe wszakże zmienił oblicze — literat, który prosi o posłuchanie, jest dla kapitalisty rzeczą niebezpieczną.. godzi na jego worek, żądać może kaucyi, pożyczki — spółki do bibuły jakiejś. Dreszcz przeszedł po całem ciele radzcy komercyjnego, który sobie rzekł w duchu. — Zje licha, jeśli u mnie złamany szeląg wyłudzi.

Z uśmiechem wszakże stanął naprzeciw profesora, który mu wyłuszczył krótko, iż pozyskawszy serce i szacunek pani baronowej, a wiedząc, iż pierwsze jej małżeństwo jest zerwane, ośmiela się prosić ojca o poparcie go u córki i błogosławieństwo...

Radzca słuchał, jakby uszom nie wierzył, oczy otworzył szeroko, cofał się, cofał — kilka razy zawołał: — Co, co? nareszcie śmiechem buchnął i od wrócił się...

Śmiech brzmiał jak trąba sądu ostatecznego w uszach zdumionego profesora.

Riebe odwrócił się nagle do niego pohamowawszy. się, wziął go za guzik i dobrodusznie począł:

— Pan jesteś doktorem filozofii...

— I obojga praw — dodał Arnheim.

— Doskonale. I gdzieżeś pan się nauczył tej filozofii praktycznej, żeby ojciec raz córkę dawszy gołyszowi, posiwiawszy z jej przyczyny, z dobrej woli oddawał ją drugiemu takiemu samemu...

— Ale ja kocham Helmę! — zawołał Arnheim.

— I dlatego chcesz jej pan dać do podziału los swój? Wiele pan masz dochodu — spytał gwałtownie — szczerze, otwarcie, wiele masz dochodu?

Zmięszał się Arnheim.

— Małżeństwo przecie nie jest spółką handlową.

— Przepraszam.. ja je za nią uważam — odparł radzca.

Obżałowany stał przed nim milczący.

— Ja wiem, że pan tam bywałeś bardzo często i do bardzo późna. Ale to się mnie nie tyczyło, to rzecz męża, żeby panu drzwi pokazał. I to wiem, że możecie bez mojego pozwolenia się pobrać, ale za to panu ręczę, że ja złamanego nie dam szeląga. Jeśli miłość jest tak żwawa, że się obędzie bez wszelkich przydatków...

Skłonił się i nie dokończył.

Arnheim zmięszany nieco oddał mu ukłon i wyszedł. Stał chwilę namyślając się, czy udać się na górę lub czy opuścić dom ten na zawsze. Zwyciężył nałóg, poszedł do Helmy, która niespokojna czekała na niego.

Po twarzy poznała, jaką niósł odpowiedź, a zresztą domyślać się jej mogła po ojca usposobieniach.

Profesor cichym głosem zdał sprawę z poselstwa, łagodząc nieco otrzymaną odprawę.

— O! to nic, tegom się spodziewała — odezwała się Helma — ale lody są rozbite — ojciec wie o tem.

— Pan mi mówiłeś, że jesteś dobrze położonym u ministra, że w pokrewieństwie dalekiem liczysz się generałowi.

— Tak jest — tak! — zawołał profesor.

— Zechcą oni poprzeć pana i pomódz mu?

— Jestem tego prawie pewny.

— A ja pewną jestem i panu ręczę, że pośrednictwo wysoko położonych osób wszystko załatwić potrafi. Znam mojego ojca. — Idź i staraj się pan o to, niech przyjadą, niech nalegają... gdyby minister miał krzyżyk do ofiarowania za długie a wierne usługi ojca...

— Rozumiem — rzekł Arnheim całując ją w rękę z rozjaśnioną twarzą.

— Idź pan.. idź...

To mówiąc, narzuciła na siebie chustkę i zbiegła na dół.

Tu odgrywała się scena w sypialnym pokoju radzczyni, którą aż w przedsieni słychać było. Riebe wykrzykiwał:

— A! so! a! so!

Córka weszła z twarzą spokojną, nie strwożona. Jeszcze drzwi za sobą nie zamknęła, gdy ojciec przypadł samym widokiem jej wzburzony.

Helma siadła w krześle, podparła się na ręku i słuchała nie opowiadając wcale. Rozjątrzyło go to do tego stopnia, iż wreszcie począł wyzywać tłómaczenie.

— Nie mam ani słowa do odpowiedzenia na to, co ojciec mówisz — odezwała się spokojnie — ze stanowiska ojca masz słuszność, ze stanowiska kobiety ja ją mam. A zatem nie mówmy o tem.

— Więc cóż? — pójdziesz bez pozwolenia?

— Nie wiem — namyślę się — odparła Helma — mogę na rozwód nie pozwolić, mogę dzieci nie oddać, — mogę pójść, mogę nie pójść — nie wiem.

Zimna krew córki do wściekłości prawie przywiodła skołatanego tylu kłopotami radzcę, który okrutnie drzwiami szarpnąwszy wyszedł.

Przyznajemy się, że dalszy przebieg sprawy tej szczegółowo nam nie jest znanym. To pewna, w kilka dni dwie karety, z których jedna ze strzelcem na koźle, zaszły przed kamienicę radzcy. Oznajmiono Jego eksc. pana generała jazdy.

Riebe wybiegł na schody.

Generał, którego zaledwie zdaleka widywał, zdumiewał go, ale widok ministra przeraził. W pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że przyjeżdżają mu ofiarować tekę finansów... lub... głowa mu się zawracała...

Nadzwyczajnie grzeczni obaj dostojnicy weszli do salonu.

Riebe stracił przytomność, odsuwając stół dla uwolnienia kanapy o mało nie stłukł lampy, biegnąc po cygara zagrożony był upadkiem, mówił prawie bez związku, tak go przejmowały te niespodziane odwiedziny.

Minister nadzwyczaj zręcznie ale nie bez cienia pewnej ironii począł mówić radzcy o jego zasługach na polu przemysłu i handlu — dał do zrozumienia, że usiłowaniom jego należała się nagroda... Generał to potwierdził.

Jak potem przyszło ad medias res, dokładnych nie mamy wiadomości. Odwiedziny trwały dobrą godzinę i głosy się kilka razy to podnosiły wysoko, to uciszały. Gdy radzca wyszedł odprowadzając swoich gości na schody, był spocony, ocierał się chustką, wzdychał i zdawał się mocno przybity. Dopełnił jednak wszelkich należnych dla tak dostojnych gości form i ceremoniałów, poszedł z odkrytą głową aż do domu a wrócił jak po łaźni i zamknął się nic nikomu nie mówiąc w gabinecie.

Trawienie honoru, który go spotkał, trwało godzin parę; gdy wyszedł potem, blady był i zły. Słomiankę, leżącą u progu krzywo, nogą podrzucił z gniewem, wszedł do pokoju żony i tu rzucił się na fotelik tak nie rozważnie, iż radczyni krzyknęła, bo wszystkie zastawy starego sprzętu zapiszczały.

Nim miał czas się odezwać, Helma weszła. Spojrzał na nią z gniewem.

— Nasadziście na mnie ekscelencye! ha, no! dobrze! zwyciężycie! trudno się rozkazowi z góry w formie prostej opierać... wszystkie-bym interesa popsuł. Nie ma już o czem mówić! Będziemy żywili profesora — drukowali książki.

— No! — dodał — kto tych trutniów wpuszcza do domu, gdzie są baby... taki głupi jak ja...

Splunął.

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Poznańska pomoc naukowa dla dziewcząt.

W Poznaniu istnieje od kilkunastu lat instytucya — dla kobiet, kierowana przez kobiety, instytucya, przyczyniająca się do wzmacniania sił umysłowych i zarobkowych kobiety wielkopolskiej. Instytucyą tą jest „Pomoc Naukowa dla dziewcząt". Działalność instytucyi przedstawia się według sprawozdania Zarządu następująco.

Idąc z postępem czasu i stosując się do życzenia ogółu, aby jak najwięcej zdolnych panienek korzystać mogło ze *studyów uniwersyteckich*, dyrekcya udzieliła częściowe zapomogi w r. 1909 na 1910 aż trzem petentkom. Jedna z nich zdała chlubnie egzamin państwowy lekarski, druga słucha już filologii, a trzecia rozpocznie niebawem również studya filologiczne. Dwie petentki otrzymały stypendyum na podróż za granicę w celu wydoskonalenia się w języku francuskim, z których jedna udała się do Paryża, druga do Tilldone. Na nauczycielkę języków złożyła w Wrocławiu jedna stypendyatka; dwie uzyskały na Wielkanoc patent, trzecia zaś, która miała składać egzamin nie powiadomiła dotychczas o rezultacie.

Ostatnia z tegorocznych seminarzystek najwyższego kursu ma nadzieję uzyskania patentu we wrześniu. Prócz wyżej wymienionych uczy się jeszcze w seminarych 8 panienek, które wogóle bardzo dobre świadectwa przysłały na Wielkanoc. Pięć uczennic jest w I i II klasie wyższych zakładów naukowych. Kandydatek, czekających na stypendyum, mamy również pięć. Odmówiono stypendyum 24 petentkom bądź to dla młodego wieku, bądź dla świadectw nie odpowiadających wymaganiom, wreszcie z powodu braku funduszu.

Panienek kształcących się w *muzyce*, do czego i śpiew dołączony, jest rokrocznie kilkanaście. Zgłaszająca się stypendyatka, zanim przyjętą zostanie, musi wpierw złożyć potrzebny do tego egzamin, poczem oddaną zostaje do stosownej dla niej szkoły muzycznej, gdzie pobiera naukę aż do złożenia egzaminu, który daje kwalifikacyę na nauczycielkę muzyki. Nie lubi Towarzystwo brać panienek, mających aspiracye wykwalifikowania się na artystki. Rzecz to ryzykowna i pociągająca za sobą zbyt wielkie koszta; jednakże skoro się zdarzy talent nadzwyczajny nie cofamy się i przed tą ostatecznością; tylko promujemy ów talent wedle możności funduszów. Te same powody kierują nami przy wyborze szkoły. Obawiamy się wysyłać panienki na studya za granicę — raz dla kosztów a potem z obawy, czy pozostawiona własnej woli nie zboczy z raz obranej drogi, przez co zaniecha studyów i grosz Towarzystwa idzie na marne. W Poznaniu mamy konserwatorya muzyczne tak dobre, że nie potrzeba szukać dalszych, prócz tego mamy tutaj lepszą kontrolę nad pupilkami i skoro się okaże, że nie robią dostatecznych postępów, albo, iż nie są dosyć uzdolnione, aby złożyły egzamin na nauczycielki, cofamy stypendyum, jak to i w tym roku miało miejsce. W roku 1909 na 10-ty było uczennic jedenaście. Jedna złożyła świetny egzamin na nauczycielkę, jedna przestała się uczyć, jedna uczy się śpiewu w Berlinie, jedna w konserwatoryum rządowem muzycznem w Wrocławiu.

Pierwszy raz roku bieżącego udzieliła dyrekcya stypendym na wyuczenie się *rzeźby*. Utalentowanu stypendystka z wielkiem powodzeniem pracuje na akademii w Krakowie.

Z wszystkich zawodów może najwięcej zapewniający chłeb młodym dziewczętom, to *zawód freblowski*. Nigdy dla nich posady nie zabraknie — przeciwnie: brak fachowo wykształcenych uczuwać się daje coraz dotkliwiej — nic więc dziwnego, że z tego powodu wprost gromadnie garną się dziewczęta do zawodu freblowskiego, bez względu na to, czy zdolności i staranniejsze wychowanie upoważniają je do podjęcia pracy w tym kierunku. Uwzględniając te potrzeby, dyrekcya znacznie podwyższyła etat działu freblowskiego, — tem baczniejszą jednak pragnie zwrócić uwagę na to, aby do trudnego tego i pełnego odpowiedzialności zawodu przyjmować tylko dziewczęta, którymby z spokojnem sumieniem wychowanie dzieci bezpiecznie poruczyć można. Dotąd zastęp bon rekrutował się po części z dziewcząt, których wykształcenie i wychowanie dużo pozostawiło braków. Odtąd pragniemy tylko przyjmować lepszy materyał i w tym celu prosimy z tego miejsca wszystkie panie kolektorki w pierwszym rzędzie oraz osoby interesujące się Pomocą naukową, aby na kandydatki zawodu freblowskiego przysyłały dziewczęta li tylko z lepszem przygotowaniem, wykształceniem i staranniejszem wychowaniem.

Książkowość to dział nauki może najdonośniejszy dla pracujących kobiet. Książkowe pożądane są przez wszystkich właścicieli, — wzywane do banków, składów i magazynów. Najlepiej wykształcone zadowalają się pensyą mniejszą, niż mężczyzni, a sumiennością i akuratnością im dorównują; to też wobec łatwości umieszczania się, na dział ten zgłasza się znaczna liczba kandydatek. W roku 1909 kształciła się jedna w „Gewerbeschule". Kurs trzymiesięczny przeszło kilka panienek i kilka miejscowych korzystało z wieczornego kursu, udzielanego w personale żeńskim. Wszystkie uczyły się pilnie i brały lekcye stenografii i pisania na maszynie — lecz nie wszystkie dostatecznie przygotowane odniosły pożądaną korzyśń i rzeczywistą dla nich stratą, że nie posiadamy szkoły handlowej z wykładem polskim. (Mamy szkoły takie w Galicyi — przyp. red)

Dentystyka w ostatnim czasie dość znaczną sumę pochłonęła; jedna ze stypendystek naukę ukończyła i bardzo zadowolona, a dwie kształcą się w klinikach dentystycznych w Berlinie i Wrocławiu. Długo dyrekcya nie mogła się przekonać do *ogrodnictwa,* gdyż trudno było uzyskać posadę ogrodniczki. I na tem polu czasy się u nas na lepsze zmieniły — poszukiwane bywają kobiety-ogrodniczki, zwłaszcza do zakładania ogrodów, to też dyrekcya udzieliła stypendyum na kurs w Marienfelde pod Berlinem. Zupełnie nowy dział tworzą stypendystki, poświęcające się *położnictwu i pielęgniarstwu;* zwłaszcza ostatnie bywają bardzo poszukiwane przez lekarzy i właścicieli ziemskich. *Fryzyerstwu* dość dużo panienek się oddaje, zwłaszcza z mniejszych miast, gdzie szybko znajdują zarobek. — Nauki *prania i prasowania* coraz mniej panienek pożąda ze źle zrozumiałego interesu, bo prasowanie dobrze wykonane daje zawsze pewien i stały zarobek. *Praca igłą* zapewnia kobiecie byt niezależny, byle dobrze zapoznała się z swym zawodem. Zrozumiały to dzisiejsze kandydatki krawieczczyzny. Coraz więcej domagają się dłuższej nauki i proszą o naukę wyższego kroju. Dyrekcya przychyli się do życzenia kandydatek i podzieliła je na trzy kategorye: pierwsze, wyuczone szycia, dostają naukę kroju; drugie uczą się dwa i pół roku z małą opłatą, do której Towarzystwo im dopłaca na utrzymanie, aż do ukończenia nauki, — wreszcie na te, które chcą pracować po wsiach lub małych miasteczkach: tym wystarcza półroczna nauka w Poznaniu lub w mniejszych miastach, gdzie znajdują się magazyny dorównujące poznańskim. Taka nauka okazuje się bardzo korzystną tak dla uczennic, zostających w skromnych warunkach domowych, jako też dla kasy Towarzystwa. Jest bardzo dużo kandydatek, które cały rok czekać muszą na przypadającą na nie kolej. W roku 1909 żadna panienka nie była wysłana za granicę. W Paryżu, jak w Wiedniu praca tak jest wyspecyalizowana, że uczennica, aby z niej korzystać mogła, musi być bardzo dobrze przygotowana, pojechać na czas dłuższy, — nieraz wypadnie jej zmieniać magazyny i być wystawioną na różne trudności, — to też żadna z kandydatek nie okazała się odpowiednią.

Zawód *modniarstwa* pociąga wiele dziewcząt, chcących w tej pracy znaleść sposób zarobkowania, dla tego bardzo wiele mamy petycyi, którym niepodobna zadość uczynić, są więc zmuszone kandydatki nasze czekać za nauką rok a nawet i więcej, co jednak bynajmniej ich nie zniechęca, byle tylko mogły osięgnąć pożądaną naukę, do której tak gwałtownie się cisną. Jednak na mocy doświadczenia i wywiadu w sprawie nauki modniarstwa od ośmiu pań kierowniczek magazynów, widzimy, że zawód ten jest tylko sposobem utrzymania dla bardzo zdolnych, które po trzech latach nauki, to jest 6 sezonach, mogą dojść do stałego zajęcia jako dyrektryzy. Z dziewcząt bez wybitnych zdolności mogą uczyć się tylko te, które w domu mają oparcie, — żyć z tego nie potrzebują — inne zaś powinny oprócz modniarstwa posiadać jeszcze inny zawód, jak książkowość, ekspedyentki, aby w miesiącach posezonowych tem się zajmować. — Pomoc naukowa daje dziewczętom naukę półroczną, złożoną z dwóch sezonów — pomiędzy jednym a drugim wyjeżdżają do domu. Po skończeniu tego czasu nauki może uczennica zostać tak zwaną modniarką sezonową z płacą 12—15 marek miesięcznie. Jedną więcej uzdolnioną w roku ubiegłym 1909 wysłano do Warszawy, aby lepiej wydoskonaliła się w obranym zawodzie, lecz dla brakn wytrwałości i chęci prędszego zarobkowania, po kilku miesiącach powróciła, nie dokończywszy nauki.

Dział *gosgodyń i kucharek* przedstawia trudność dla dyrekcyi Pomocy Naukowej z tego powodu, że nie posiadamy w Księstwie ani szkoły dla sług, jaka znajduje się w Warszawie, ani żadnej instytucyi, która kształciłaby kobiety zawodowo i racyonalnie w tym kierunku. Zakład P. Szczerbińskiej w Śremie, obecnie zamknięty, przeznaczony był dla panienek z rodzin zamożniejszych i nauka trwała tam zbyt długo i była za drogą wobec funduszy, jakie Towarzystwo nasze mogło przeznaczyć dla tego działu. W roku ubiegłym 1909 dawaliśmy częściową subwencyę panience która tam się kształciła. Ogół jednak

uczennic jesteśmy zniewoleni umieszczać w domach prywatnych i wypraszać tam dla nich łaskawe przyjęcie. Wobec rozproszenia uczennic po Księstwie, dozór Towarzystwa nad niemi był utrudnionym i nieraz były kandydatki zniewolone czekać z rozpoczęciem nauki, aż się otworzy miejsce. Dzięki ofiarności pań naszych, którym wyrażamy wdzięczność naszą, udało się dyrekcyi pozyskać w Księstwie kilka miejsc, gdzie i opieka nad dziewczętami jest znakomita i dużo mogą skorzystać. *Dyrekcya.*

Rady dla matek.

Pokój dziecka należy, bez względu na porę roku, przewietrzać przynajmniej dwa razy dziennie za pomocą otwierania okien, lufcików (mniej pożądane), lub wreszcie okien górnych.

Dziecko należy codziennie wyprowadzać na spacer, bez względu na porę roku; wyjątek stanowią dnie mgliste, deszczowe, zawieje śnieżne, burze, silne mrozy.

Dziecko, które się urodziło na wiosnę lub w lecie, można wynieść na spacer na 5—7 dzień po urodzeniu; pierwszy spacer powinien trwać krótko (pół godz. lub godzinę), przedłużając stopniowo; należy wreszcie dojść do tego, by dziecko więcej niż pół dnia przebywało na świeżem powietrzu.

W zimie powinno pozostawać dziecko na powietrzu 2—3 godziny, na wiosnę 4—5 godzin (stosownie ubierać). W lecie można wyprowadzać dziecko 2 razy dziennie — rano i po południu; pozostawać można do zachodu słońca, o ile jest ciepło.

Dziecko, które skończyło rok, należy odstawić od piersi. Odstawia się stopniowo; wzamian piersi karmi się mlekiem odpowiednio przygotowanem. Co kilka dni kasuje się karmienie piersią, a natomiast daje się mleko; z początku kasujemy jedno ssanie na dobę, po upływie kilku dni dwa ssania na dobę, znów po upływie następnych kilku dni kasujemy 3 ssania na dobę, zamieniając je mlekiem, i t. d.

W razie nowej ciąży powinna matka odstawić dziecko od piersi, rozumie się stopniowo — zupełnie tak samo, jak się to czyni podczas odstawiania w zwykłych warunkach.

Zaszczepić ospę dziecku należy w ciągu pierwszych tygodni jego życia. Pora roku, pomimo utartego przesądu, że szczepić najlepiej jest w lecie — jest obojętna.

W pierwszych tygodniach życia może być dziecko noszone tylko w położeniu leżącem, nigdy zaś w siedzącem. Podnosić należy dziecko pod krzyż, nigdy za ręce lub za piersi. Starsze dzieci (3—4-miesięczne) można nosić na ręce, kładąc dziecko na przemian na prawej lub lewej — a to dlatego, by nie wywołać skrzywień kręgosłupa.

Odzież i pieluchy dziecka muszą być często zmieniane. Pieluch nie należy ani prać, ani suszuć w pokoju, w którym przebywa dziecko.

Nie wolno odstawiać dzieci w czasie upałów, gdy cierpią na biegunką lub jaką inną chorobę.

Nie należy pozostawiać uśpionego dziecka przy piersi; matka nie powinna brać dziecka do swego łóżka i z niem zasypiać. Dziecko powinno mieć swoje własne łóżeczko (nie kołyskę) bez zasłon.

Przy sztucznem karmieniu należy przestrzegać nadzwyczajnej czystości rąk, wymion krowy, naczyń. Najlepiej znoszą dzieci mleko krów karmionych suchą paszą. Dla dzieci karmionych sztucznie należy mieć mleko świeże dwa razy dziennie.

Nie palić światła w nocy w pokoju dziecka; w nadzwyczajnych wypadkach (np. choroba dziecka) można zapalić lampkę z knotkiem pływającym na oliwie — lampka taka najmniej zanieczyszcza powietrze.

Każde dziecko powinno przed jedzeniem mieć ręce czysto wymyte. *M. B.*

Dla czego kobiety tak wiele mówią?

O gadatliwości kobiet mówiono i pisano już bardzo wiele, a niektórzy pisarze czynili nader dowcipne na ten temat uwagi. Między innymi wypowiedział się także w tej bądź co bądź, trochę drażliwej materyi, także wytrawny znawca kobiet, *Marceli Prevost.* Poniżej podajemy kilka jego spostrzeżeń, przyczem zapewniamy, że wybraliśmy umyślnie takie, które są najmniej złośliwe.

Większa część rodu kobiecego — pisze Prevost — znosi z wielkim humorem opinię o gadatliwości niewieściej, która to opinia istnieje już od niepamiętnych czasów. I istotnie bezstronna obserwacya wskazuje, że kobiety mają ogromne zamiłowanie do rozmowy. Bardzo interesujące studya można uczynić, porównując zebrania męskie w kawiarniach z zebraniami kobiet na t. zw. herbatkach. Mężczyźni grają w bilard, domino, szachy lub karty, przyczem zatykają sobie usta papierosem lub cygarem. Nadto mężczyźni walczą ze sobą zawzięcie o każdą gazetę, o każde czasopismo, a chwyciwszy zdobycz w rękę, czytają chciwie wszystko od początku do końca. Przy tak zw. „afternoon teas" zaś główną, a raczej jedyną rozrywkę stanowi rozmowa, a właściwie, mówiąc otwarcie, samo mówienie. Herbata i ciastka służą tylko do dekoracyi. Kobiety wogóle nie bardzo kwapią się z jedzeniem i zgodziłyby się napewno na „herbatkę", przy której podawanoby do stołu puste filiżanki, bez herbaty, a ciasta byłyby imitowane z papieru i ułożone na talerzach tylko dla ozdoby; byleby fotele były na około tak ustawione, aby wszystkie kobiety in corpore, to znaczy wszystkie naraz mogły dowoli rozmawiać, a raczej bez przestanku mówić.

Czem należy tłómaczyć dziwną tę różnicę w usposobieniu i upodobaniach obu rodzajów ludzkich, czem należy tłómaczyć, że płeć piękniejsza znacznie większą ma potrzebę mówienia?

Ludzie uczeni zapewniają, że przyczyny tego zjawiska szukać należy w pewnych fizyologicznych właściwościach kobiet: podobno „ośrodki słowa mówionego" są u kobiet bardziej rozwinięte, niż u mężczyzn. I rzeczywiście nie da się zaprzeczyć, że jest pewna wybitna, widoczna różnica fizyologiczna, która bardzo wiele tłómaczy, mianowicie różnica w głosie. Cieniutki, delikatny głosik kobiecy sprawia, że słowa wypadają z ust kobiecych szybko i zwinnie, podczas gdy u mężczyn już sam ich głos niski, dobywający się z głębi piersi, zmusza do oględnego, powolnego rozporządzania zapałem słownym. A więc kobiety są już z natury lepiej przysposobione do gawędki.

Prócz tego wrodzonego daru wielką rolę w tym względzie odgrywa wychowanie, czyli przestrzegana od niepamiętnych czasów odrębna metoda wychowywania dziewcząt. Chłopców przyzwyczaja się już za młodu do milczenia. W gimnazyum nakaz milczenia podczas lekcyi w klasie bywa surowo przestrzegany. W pensyonatach żeńskich zaś swoboda mówienia jest mniej krępowaną, zresztą okres szkólnej tresury trwa króciej. Gdy okres szkolnego wychowania się kończy, kobieta rozpoczyna życie, w którem bezustanna powódź słów bynajmniej jej nie przeszkadza codziennym zajęciom. Ani troska o gospodarstwo, lub o toalety, ani też o wychowanie dzieci nie wymaga milczenia. Przeciwnie, rzec można, że trudno wychować małe dziecko, jeśli się bezustannie do niego nie mówi. Z dzieckiem trzeba bowiem ustawicznie gawędzić, wciąż powtarzać rozmaite słowa i zdania, gdyż tylko w ten sposób można małej istotce dać pewien zapas słów i myśli. To też my mężczyźni zawdzięczamy to gadatliwości naszych matek i wychowawczyń, że wogóle umiemy mówić.

Ale jest jeszcze inny powód, który powinien nas skłonić do pobłażliwości względem elokwencyi niewieściej. Wszak my mężczyźni sami ośmielamy kobiety do gadatliwości, pobudzamy je do pustej rozmowy, przytakiwując im bezustannie, nie bacząc nawet na to, co mówią. Piękna młoda kobieta może w naszej obecności mówić, co i jak się żywnie podoba, może mówić o wszystkiem i niczem a przytem nic zgoła nie wypowiadając i sypiąc słowami bez treści; pomimo to wszystko jednak mężczyźni, słuchający jej, poświadczą, że kobieta ta jest mądrą i dowcipną... Przykrą jest tylko rzeczą, że kobieta się starzeje, że świeżość młodości znika, a zostaje jedynie popęd do obfitego mówienia i wielka wymowa.

Pewnego dnia zdarza się tedy, że młodsi mężczyźni o kobiecie nie pierwszej młodości ferują bez ogródek bezlitośny wyrok: „co za nieznośna gęś!" Wtedy mężczyźni starsi, należący do tego samego pokolenia, co owa kobieta, mogliby odpowiedzieć: „Przed dwudziestu laty mówiła ona słowo w słowo to samo, a jednak uważano ją za osobę niezmiernie interesującą i uroczą."

Nadmierna „rozmowność" jest zatem wadą, którą w dużej mierze sami mężczyźni w kobietach wyhodowali. Należy się więc hamować w zbyt energicznem potępianiu kobiet „wymownych" i uwzględniać okoliczności łagodzące.

Dom i kuchnia.

Tort Zosieńki!

(Przepis łaskawie nam nadesłany przez p. Z. M.)

Na cały tort bierze się 16 jaj, 1 funt cukru, 1 funt migdałów i ćwierć f. czekolady. Następnie 8 żółtek ucierać po mału z pół f. cukru do białości; potem dodać pół f. migdałów (obranych i utartych na maszynce) i dobrą garść miałko utartej bułki, skórki cytrynowej, pianę dobrze

ubitą w tych 8 jaj i lekko wymieszać. — Drugą połowę robi się tak samo tylko zamiast bułki daje się czekolady. I każdą połowę piecze się w osobnej tortownicy. Po upieczeniu przekłada się konfiturami lub masą. Najlepszy z różą.

Tort kawowy.

(Przepis łaskawie nam nadesłany przez p. Z. M.)

Trzeć 6 żółtek z pół f. cukru godzinę, ubić gęstą pianę z pozostałych białek i 10 deka (100 gr.) mąki. Wymieszać lekko, podzielić na 2 części i upiec 2 placki w tortownicah wysmarowanych masłem, po upieczeniu pokropić czarną kawą i przełożyć masą, następującą: 36 deka (360 gr.) deserowego masła (może być zwykłe nie słone), spienić doskonale przez pół godziny, 18 deka (180 gr.) cukru i znowu spienić 8 żółtek wbijając po jednemu, 10 łyżek bardzo mocnej czarnej kawy ciepłej. Po doskonałem utarciu dać w zimne miejsce a gdy zupełnie zgęstnieje, masą tą przełożyć placki. Lukier dowolny.

Wyborny placek z serem.

Pięć żółtek, ćwierć funta masła nie solonego, szklankę cukru i łyżeczkę sody uwiercić w donicy do białości. Wszystko wyłożyć na stolnicę i wygnieść trochę mąki, poczem rozwałkować na grubość palca, położyć to na blachę wysmarowaną masłem i zrumienić. Trochę tego ciasta zostawić, gdyż będzie potrzebne do ubrania placka.

Następnie urządza się taka zaprawa: pięć żółtek, ćwierć f. masła niesolonego, szklankę cukru (pudru), troszkę wanilii i trzy łuty drożdży zmieszać z trzema szklankami sera tartego, świeżego, nie solonego, poczem uwiercić to w donicy i ułożyć równo na placku zrumienionym. Przykryć to kratką z pozostawionego ciasta, posmarować jajkiem, ubrać migdałami i zrumienić w piecu jak poprzednio.

Kartofle nadziewane szynką.

Kartofle surowe wydrążyć obficie, żeby w nich było dużo miejsca. Zrobić farsz z szynki (można wziąć szynkę przednią) z trochą bułeczki, soli i odrobiną pieprzu — co niekonieczne — i ponakładać nim kartofle. Wstawić do pieca — a kiedy już upieczone i zrumienione, włożyć w rondelek, oblać kilkoma łyżkami śmietany i dusić z 10 minut pod pokrywką.

Z rondelkiem na okrągłym półmiseczku, wyłożonym ładną serwetką — podać na stół.

Rosół angielski.

Na sześć talerzy dobrego, esencyonalnego rosołu, wsypać trzy łyżeczki od herbaty tapioki, tę ugotować w rosole. Sześć żółtek rozbić w sześciu łyżkach dobrej, słodkiej śmietanki. Gdy tapioka jest ugotowana i rosół wrzący, zsunąć go z ognia, wlać żółtka rozbite ze śmietanką, trzepaczką rozbić. Na ogień już nie stawiać. Gorący na stół podawać.

Budyń ze szpinaku.

Ugotowany i przefasowany szpinak włożyć na miseczkę, dodać 1 bułkę namoczoną w mleku i nie wyciśniętą, trochę soli i pieprzu i dobrze wymieszać. Następnie kawałek pozostałej pieczeni wołowej lub cielęcej i kawałek szynki gotowanej (razem funt), pokrajać w drobne kostki, dodać 4 surowe żółtka, wymieszać to ze szpinakiem, dokładając ostrożnie pianę z 4 białek; wziąć formę blaszaną lub rondelek, wysmarowany masłem, ułożyć masę przykryć i wstawić w drugi duży rondel z gotującą wodą, gotując przez 10—15 minut lub piec w piecu niezbyt gorącym. Budyń gotowy wyłożyć na na półmisek, polać rumianem masłem i obłożyć grzankami smażonemi na maśle.

Cielęcina w majonezie.

Cielęcina w majonezie jest potrawą bardzo smaczną i niezwyczajną.

Podaję więc sposób jej przyrządzania:

Kilko-funtowy kawał cielęciny od ćwiartki oczyścić z kości i błon, rozkroić tak, aby się podłużny kawał utworzył, zbić go mocno, osolić i lekko opieprzyć, następnie zwinąć ściśle w rulon, owinąć serwetą i mocno owiązać sznurkiem, tak, aby całość miała kształt smukły i podługowaty. W ten sposób urządzoną cielęcinę trzeba gotować przez dwie godziny w wodzie z octem, wziętej w równych częściach. Do smaku tego dodać jeszcze suto pokrajanej rozmaitej włoszczyzny, trochę korzeni, skórki cytrynowej i, gdy potrzeba, nieco soli. Cielęcina musi być zupełnie miękka i dlatego w ciągu gotowania najlepiej próbować, czy długo jeszcze potrzebuje się gotować. Miękką zostawić w sosie choćby na kilka godzin, do zupełnego wystudzenia, i dopiero wtedy odwinąć z serwety, pokrajać w plastry, ułożyć je jednym rzędem na podłużnym półmisku i polać majonezem poniżej podanym.

Dwa surowe i dwa ugotowane żółtka ucierać w donicy i dolewać cieniutkiem sznureczkiem pół funta najlepszej oliwy, a gdy wszystko należycie zgęstnie, dodać do smaku soku z cytryny, białego pieprzu i soli, a na końcu wlać nieco rosołu, w którym się cielęcina gotowała. Gdy sos po paru godzinach dobrze zgęstnie, oblać nim złożoną na półmisku cielęcinę. Pozostały rosół sklarować, wylać na półmisek, a gdy się zgalaretuje, galaretką tą, pokrajaną w zręczne figurki, cały półmisek z majonezem ubrać. Galaretkę przed studzeniem można zafarbować rozmaitemi kolorami, a będzie o wiele piękniej wyglądać

:: HUMORYSTYKA ::

Listki.

Małżeństwo porównać można do morskiej przystani; wielu jest jednakowoż takich mężczyzn, którzy nad cichą przystań wolą burzliwe, pełne morze.

Kobiety kochają trzy razy w swojem życiu: rano, w południe i wieczór.

Niewinność porównać można ze śniegiem, bo jest tak białą i tak prędko topnieje.

— Miły mocny Boże! przepadło — klepadło! — temi słowy objawił swój żal kowal Szymek, gdy mu żona umarła.

Małżeństwo podobne jest do oblężonej fortecy. Ci, co są poza nią, radziby się do niej dostać; a ci, co są w niej, chcieliby ztamtąd umknąć.

Trzymać węgorza za ogon, a kobietę za słowo — na jedno wychodzi.

— Co to jest „wdowiec“?
— Zasądzony, który swoją karę już odpokutował.

Kobieta może wpaść mężczyźnie w oko — stanąć mu w gardle, a wyleźć bokiem.

W kuchni.

— Cóż to strażak u ciebie? Anusiu, przecież mówiłaś, że nie masz znajomych.
— Bo, to proszę pani nie znajomy, on dopiero przyszedł zaznajomić się...

U proboszcza.

— Łeb sobie można urwać, gadając z wami. Nie przeczę, że w metrykach musicie być zapisani, ale, aby znaleść daty, muszę przecie wiedzieć choć w przybliżeniu czas waszego urodzenia.
— Toli, mój jegomościcku, jak moja matusia zyli, to mi godali, zek sie urodziła akurat podczas okopowania zimnioków...

Nasi kmiotkowie.

— Proszę pana wójta, ukradli mi dziś w nocy konia ze stajni.
— Bądźcie spokojni, Wojciechu, już my do wieczora znajdziemy.
— A nie możnaby wcześniej?
— W żaden sposób!... Ale dlaczego?...
— Bo widzi pan wójt, jeszcze złodziej gotów mu dać owsa...
— No, to dobrze...
— Bogać tam, dobrze, kiej potem bestjo siećki żryć nie będzie chciał...

— Łaskawy panie prezesie! proszę o jaki dodatek do płacy. Niedawno jak się ożeniłem...
— Żałuję niezmiernie, ale nic na to nie poradzę. Za nieszczęśliwe wypadki, które się moim urzędnikom wydarzą poza urzędem, nasze Towarzystwo nie odpowiada.

Ciekawa.

— Mamusiu, czy ludzie w ziemi się rodzą?
— A to dlaczego?
— Bo pan Henryk pytał wczoraj tatki o mamę: „A zkądżeś taką babę wykopał?‘

Także powód.

— Co ci to panie Marku? Smutnyś...
— Mam czego przyjacielu. Dostałem dymisyę od pryncypała.
— Ty... taki pracowity? Niepodobna, i za co?
— Wyobraź sobie, żona moja, najnieumyślniej, sprawiła sobie taki sam kapelusz, jaki ma pryncypałowa, i oto powód.

Największy czas.

— Ludwiku! słyszałem, że twój brat powrócił z Australii, a tyś rozgadywał, że go tam dzicy zjedli...
— On się tylko cudem wydostał. Już był na jadłospisie umieszczony...

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.